biurokratyczna stonka i myśl pokątna 3

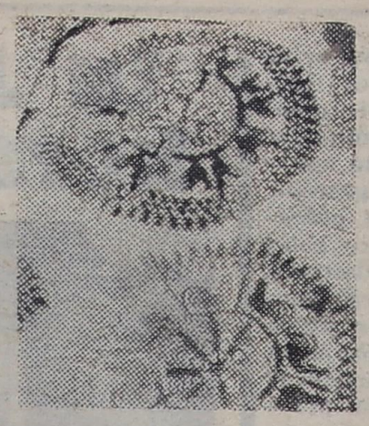

orka przy szabli 6

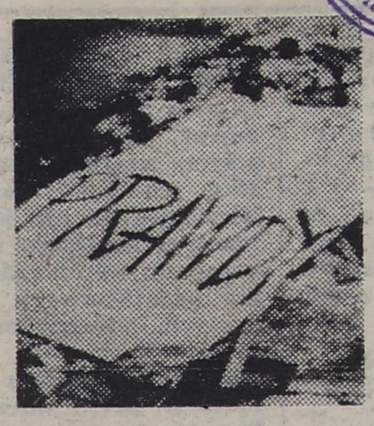

polskie zakręty marzec 1968 7

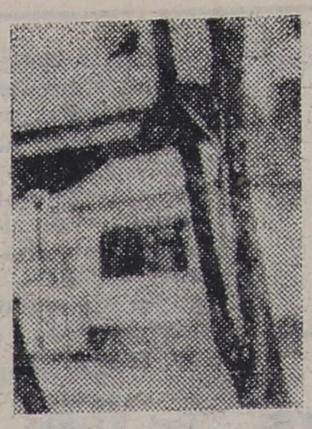

matecznik 12

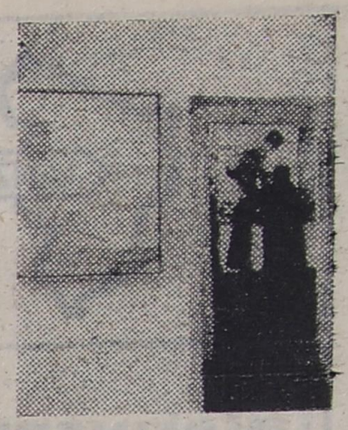

AS-y kolorystyki 14

BIBLIOTEKA

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

22
(49)
KONTAKTY
7 VI 1981
Cena 4 zł

Fot. GABOR LÖRINCZY

polski dylemat - nadzieje i zwątpienia

Baba Jaga i polityka

EDWARD OSÓBKA-MORAWSKI

Trzy lata polskiego socjalizmu • Etapy • Tęsknota za prawdą • Kanarek z trójkątną pieczęcią • Buble dochodu narodowego • Klęska urodzaju ministrów • Ucho igielne • Cena nomenklatury • Odkrywanie Ameryki • Czy te oczy mogą kłamać.

Dylematy polskie? Jest ich wiele. Wymieńmy niektóre z nich. Pierwszy: suwerenność czy ograniczona suwerenność. Naród polski pragnie i akceptuje tylko pełną suwerenność, bez żadnych ograniczeń, gdyż tylko wtedy może się swobodnie i prawidłowo rozwijać, tylko przy niej mogą powstawać wiarygodne sojusze, pakty obronne i inne umowy międzynarodowe.

Drugi: demokracja czy totalizm, gdyż nie ma między nimi drogi pośredniej. Władze Polski Ludowej narodziły się wprawdzie z dyktatury proletariatu, ale stanęły na gruncie konstytucji demokratycznej, odrzucając tę z 1935 r. Dla Polski w 1944 nie było innej drogi, żeby określić właściwe granice, dokonać niezbędnych reform społecznych, stworzyć nową politykę zagraniczną, jak tylko droga Manifestu PKWN-u, droga Rządu Tymczasowego i Rządu Jedności Narodowej. Drogę tę nazwaliśmy polską drogą do socjalizmu i szliśmy nią pierwsze trzy lata — do połowy roku 1947. Choć kraj nasz był bardzo zniszczony przez wojnę i politycznie rozdarty (nawet lała się bezcenna krew bratnia, co utrudniało jego odbudowę), to jednak notowaliśmy stałe osiągnięcia: zdobywaliśmy dobre granice, zlikwidowaliśmy kłopotliwe problemy mniejszości narodowych, zaludnili ziemie zachodnie, przygarnęli na łono Ojczyzny szerokie masy emigracji wojennej i zarobkowej, zlikwidowali przeludnienie wsi, bezrobocie w miastach, upowszechnili oświatę i kulturę, rozwinęli spółdzielczość itd. W ciągu tych trzech lat ogłosiliśmy dwie amnestie, nie dopuściliśmy do inflacji, pomimo że ogromna część naszego dochodu narodowego przeznaczona była na odbudowę kolei, mostów drogowych i kolejowych, Warszawy i innych miast oraz półmilionowej armii. Nie zaciągaliśmy tak wielkich, jak później, pożyczek zagranicznych, nie doświadczaliśmy takich katastrof jakie nastąpiły w latach 1956, 1970, 1976 i 1980. Te osiągnięcia mieliśmy

CIĄG DALSZY NA STR. 4

NINA OMELCZENKO

marmolada na sedesie

Może gdzieś i czegoś brakuje; bo przecież nie dla czego innego, jak dla tych braków marnuje się taki ogrom papieru (i to jakiego!) na miliony kartek. Na mięso, cukier, kasze. Może gdzieć tam i trzeba dzielić, porcjować, ważyć co do grama — o dziecięć więcej dla matki karmiącej, pracownika fizycznego, mniej dla urzędnika — ale nie tu. W wiejskim sklepie w Jakaci Starej, gmina Śniadowo, jest wszystko: cukiereczków różnorakich z 50 kilogramów — dwa razy tyle cukru-pudru, tyleż ryżu. Jest i 140 kilogramów słoninki, 350 — mąki, 100 — ryżu, ze 200 kostek margaryny, 100 paczek herbatników, a nawet około 50 słoików papryki, kilkadziesiąt koserw mięsno-jarzynowych dla smakoszy-niemowlaków. Same dobrocie, jeśli nie liczyć już tych torebkowanych żurków, kapuśniaków, sałatek warzywnych, zup neapolitańskich, bez których można obejść się bez żalu. Całą wieś, albo i kilka, dałoby by się tym wszystkim obdzielić.

STR. 8—9

ŁOMŻA

pierwszy kęs demokracji

O demokrację wołaliśmy tak długo i głośno, że w konsekwencji jakbyśmy zagubili wiarę w jej zbawczą moc. Zaczynam relację z konferencji w Wysokiem Mazowieckiem tą refleksją nie dlatego, że demokracja była akurat najważniejszym motywem tematycznym na tym forum, ale dlatego, że właśnie tam objawiała się najczęściej.

Oto np. moment ustalania zasady zgłaszania kandydatur na I sekretarza (wybierano go spośród wszystkich delegatów). Przewodniczący obrad zgłasza wniosek, by ograniczyć listę wyborczą do trzech nazwisk. Wywołuje to zdecydowany protest sali. Nowy pomysł: zgłaszać co najmniej 5 osób — i on wzbudza ogólny sprzeciw. Ostatecznie delegaci zatwierdzają propozycję zgłaszania nieograniczonej liczby kandydatów na I sekretarza. „Walka" o wyborczy demokratyzm trwa kilkanaście co najmniej minut, aż wreszcie zaczyna się zgłaszanie kandydatów.

Listę otwierają trzy nazwiska — poprzedniego składu sekretariatu, a później zaczyna się coś niezrozumiałego: z sali padają nazwiska, a ich właściciele powtarzają jeden za drugim: „Nie wyrażam zgody na kandydowanie". Przypomina to jakąś zabawę — nazwisk pada chyba kilkanaście. A przecież zabawą nie jest, bo wnioskodawcy traktują rzecz zupełnie serio.

— Dlaczego nie zgodziliście się kandydować na stanowisko I sekretarza KM-G? — pytam podczas przerwy tych, którzy odmówili. Dwaj dali odpowiedź podobną: — Jeszcze jestem dyrektorem (prezesem) i chcę nim być nadal. Inni odpowiadali tak:

KAZIMIERZ CHOJAK (Urząd Miasta i Gminy): — Nie chcę być sekretarzem. Nie mam takich aspiracji. Lubię konkretną pracę, a nie kimś rządzić; WACŁAW GRUSZEWSKI (II sekretarz POP, kierownik Zakładu Wodociągów i Kanalizacji): — A co tu pod wiatr dmuchać, trzeba iść z prądem. Ja mam się być przekonany, że się nadaję, bo chcę, żeby partia była jak trzeba. A tu widać: jeden drugiego podaje i nikt nie chce się zgodzić tzn., że jest jakieś rozbicie, a walczyć w pojedynkę, nie potrafię; WŁADYSŁAW ŁADA (kierownik Zakładu Stolarskiego): Brak mi wykształcenia do pełnienia tej funkcji. Poza tym jestem za mało obyty do prowadzenia tak potężnej organizacji, jak nasza; EDWARD SZAFRAŃSKI (dyrektor Zakładu Mleczarskiego): — Ze względu na stan zdrowia. Poważnie!; BARBARA KRASOWSKA (inspektor san-epidu): — Czuję się stara i zmęczona, zresztą ja mam swojego kandydata i będę na niego głosować — sekretarz nie będzie sam. Już pracowałam jako I sekretarz w szpitalu, znam smak tej pracy. Jacy my jesteśmy: czytał sekretarz Górski referat. Wszyscy śpią, nikt niczego dogłębnie nie analizuje, nie protestuje. Nie znaczymy jako zbiorowość siły, przebojowości, jesteśmy zbici w kupeczki; Jedna z pracownic sekretariatu KM-G podsumowała to jeszcze lapidarniej: — A kto chce zdrową głowę kłaść w chore łóżko?

Jakbyśmy się nieco zagubili w tej wymarzonej demokracji. Niby jest kochana: bo przecież każdy może wreszcie powiedzieć swoje pełnym głosem, zarządać rozliczenia, wskazać winnych, włożyć własną cegiełkę w naprawianie kraju. I co? Rozlewa się to wszystko w morze słów, których, powoli, brakuje cierpliwości słuchać. Bo jakkolwiek żarliwie nie bronią określonych tez — nie mają finału. Nie dochodzi się nimi do umownego zenitu, kiedy to uzyskuje się świadomość, że w danych problemach, sprawach mamy — jako partyjna zbiorowość — jasność. Niekoniecznie jednomyślność, a właśnie jasność. Np. w sprawie otwartości szeregów partyjnych dla wierzących. Jeden z niedoszłych kandydatów na I sekretarza powiedział: — Nie zgodziłem się na przymiarkę do tej funkcji, bo jestem wierzącym i praktykującym katolikiem, a to — jak sądzę — przeszkodziło by mi w jej pełnieniu. Inny dyskutant, już na sali obrad: — Partia musi ustalić czym się zajmuje: życiem na ziemi czy poza nią.

— Widziałem, jak 9 letni chłopcy — powiedział następny — leżeli pijani w sztok przed „Satyrem" w Łomży. Spijali wcześniej resztki z kufli. I nikt się tym nie zainteresował — ani kelnerki, ani bywalcy. Nie bójmy się Kościoła, niech on też bierze udział w wychowywaniu społeczeństwa. B. Krasowska natomiast popierała wręcz, by konferencja zaakceptowała wniosek umieszczenia w statucie PZPR sformułowania: „Partia jest partią ludzi pracy bez względu na ich wyznanie". Nikt z przeciwników tej propozycji nie zabrał głosu. A przecież mamy by wniosek, że panuje w tym względzie jednomyślność. Na co więc czekali ze zgłoszeniem wątpliwości, argumentów? Na „lepszą" demokrację?

Przykładem „dyskusji bez echa" może być także głos Jana Dąbrowskiego (ZOZ). Zaczął on od podsumowania naszej ekonomiki, która to eruje, jeśli już nie stwarza sama, cały szereg paradoksów: traktorzysta SKR jedzie do rolnika pracować i traci na tym zamiast zarabiać (relacje cen za usługi); mleczarnia nie produkuje wyrobów spożywczych do czego została powołana, a kartę technologiczną, i nic na tym nie traci; robotnik nie pracując wychodzi na tym lepiej niż ten, który go zastępuje, wykonując swoje i dodatkowe obowiązki w tym czasie (chodzi o system wypłat za tzw. chorobowe) — Jest rzeczą niezrozumiałą — powiedział na zakończenie, że preferujemy stan nieopłacalności dobrej, a co za tym idzie, lepiej opłacanej pracy. Bo za dobrą pracę u nas się karze! Może i słuszne jest np. to, że przy przyjmowaniu dzieci do przedszkoli bierze się pod uwagę wysokość zarobków rodziców, ale w takim razie — po co są uczciwie zarobione pieniądze? Np. w naszym ZOZ ie szykuje się do odejścia dwu, z trudem tu ściągniętych specjalistów — lekarzy, bo nie mają co zrobić z dziećmi.

Są więc dwie racje: broniących interesów grup najniżej zarabiających i tych, którzy wnioskują, podobnie jak J. Dąbrowski. Gdzie zatem jest sprawiedliwość, albo — jak przynajmniej zbliżyć się do niej? Czy rzuciwszy tę myśl na forum konferencyjnym dyskutant liczył, że ktoś podejmie polemikę? Jego głos, jak wiele innych, oszarpany z ciągłości wywodu, spadł bezszumnie na karty protokółu. Wszyscy liczą na Zjazd. Ale jakkolwiek Nadzwyczajny, nie da on odpowiedzi na wszystkie dylematy i to nie tylko ze względu na ich mnogość. Po prostu muszą być one wstępnie rozwikłane „na dole". By np. ograniczyć na najwyższym forum partyjnym sytuacje, kiedy dwu delegatów z tego samego regionu zacznie przedstawiać kr ńcowo różne opinie. A żaden nie będzie pewien, czy reprezentuje siebie, czy też swoich wyborców.

Każda relacja z imprezy, w której uczestniczy określone gremium, narażona jest na zarzut, że autor nie uchwycił tego co było najistotniejsze, że wykoślawił proporcje w prezentowaniu problemów. Tu, dotyczyć on może tezy o przejawach prawie platonicznej miłości do demokracji. Otóż, kolejnym dowodem tego były wybory, z grona członków egzekutywy KM-G, pozostałych dwu sekretarzy. Jednego z nich wyłoniono „bezboleśnie" (poprzednio pełniącego tę funkcję). Drugiego zaś trzeba było wybrać z 9-osobowego grona. Zgłoszono ogółem 7 kandydatur. Można się domyśleć wyniku wyboru — żaden nie zgodził się kandydować. Postanowiono więc, że Plenum nowowybranego KM-G dokona tego w późniejszym terminie. Chyba, że zasada: demokratycznie wybierać, a nie być wybieranym — przyjmie się na stałe.

NINA OMELCZENKO

trudna sztuka rozstania

Ugruntowany został w naszym społeczeństwie pogląd, że odnowa w naszym życiu będzie możliwa tylko wtedy, kiedy partia rządząca (kierująca) będzie w tym procesie przodować, kiedy potrafi wyeliminować z życia wewnątrzpartyjnego to wszystko, co było hamulcem postępu. Niewątpliwie nie jest to akt jednorazowy. Realizuje się w toku całej kampanii sprawozdawczo-wyborczej. Od podstawowych organizacji partyjnych, poprzez następne szczeble hierarchii, aż do Nadzwyczajnego Zjazdu. Pod kątem zmian zachodzących w partii obserwowałem przebieg konferencji sprawozdawczo-wyborczej w Zambrowie. Rodzi się wiele refleksji, ale w sumie można chyba mówić o optymiźmie. Jakie zatem „nowe" bądź „inne" pojawiło się w stosunku do poprzednich tego typu zgromadzeń partyjnych.

DEMOKRACJA była pełna. O przebiegu i toku pracy konferencji od początku do końca decydowali delegaci. Nikt nie zaglądał do obowiązującego tymczasowego regulaminu wyborczego. Nie było potrzeby. Niewiele jednak brakowało, a po wyborze członków KM-G zabrakłoby kandydata na I-go sekretarza. Wprawdzie dwóch zgodziło się kandydować na to stanowisko, ale sądząc po wynikach wyborów tak naprawdę ostał się tylko jeden. Jeszcze większe problemy pojawiły się przy wyborze pozostałych sekretarzy. Odniosłem wrażenie, że delegaci skupili całą uwagę na tym, kogo nie wybrać w skład władz, niż — kto w ich składzie być powinien. Tylko w kuluarach krążyła opinia o szansach tow. Barańskiego, później wybranego na I-go sekretarza. Rodzi się tutaj uwaga, że nie dorobiliśmy się jeszcze systemu wyłaniania liderów, kandydatów do przyszłego kierownictwa w toku kampanii przygotowawczej do konferencji. Nie umiemy tego demokratycznie robić, przyzwyczajono nas do zasady, że instancja wyższego szczebla rekomendowała ludzi do kierownictwa niższej instancji. A przecież w Zambrowie wszyscy prawie się znają. Jak będzie na szczeblu wojewódzkim?

DYSKUSJA. Rzeczowa, rozliczeniowa, ale głównie wychodząca poza Zambrów. Mówcy powoływali się na stanowisko swoich organizacji macierzystych. Traktowali swój mandat poważnie. Sprawy gospodarcze były podnoszone w rozumieniu ich funkcji służenia potrzebom społeczności zambrowskiej. A więc: gospodarka żywnościowa, dla której wciąż nie można niestety dostrzec zielonego światła; uciążliwość z zaopatrzeniem i funkcjonowaniem handlu — i to z dwóch stron lady, porządku publicznego itp. Ale najbardziej utkwiła mi w pamięci prezentowana sprawa tragicznych warunków funkcjonowania szkoły specjalnej dla dzieci upośledzonych. Nawiązano w tym miejscu do trwającego Międzynarodowego Roku Inwalidy. Szkołą tą nadzoruje bezpośrednio Kuratorium. Czy rzeczywiście jesteśmy tak nieczułym społeczeństwem?

Mówiono o partii, o utraceniu przez nią siły działania, o defensywie. Najbardziej oddał to jeden z mówców, który powiedział mniej więcej tak: — Zastanówmy się nad powiedzeniem „partia kieruje, a rząd rządzi". Rozumiem, że partia musi najbardziej prawidłowo określić cel, a — jak dzisiaj możemy się przekonać — coś nie wyszło nam najlepiej.

OKLASKI. Były bardzo oszczędne. Zerwały się chyba tylko ze dwa razy, nie licząc zaliczki dla nowych władz. Raz — po wystąpieniu jednego z dyskutantów, drugi — kiedy tow. Poteraj, były I sekretarz KM-G podziękował za współpracę wszystkim członkom partii. I jest to też optymistyczne. Musimy umieć rozstawać się. Winnych karać, ale z normalnymi rozstawać się po ludzku. Szczególnie w dzisiejszych czasach, kiedy niewiele czasem brakuje, żebyśmy się pozagryzali.

FAJA

W następnym numerze zamieścimy dalsze refleksje z obrad konferencji sprawozdawczo-wyborczych.

PRZEPRASZAMY AUTORÓW: Piotra Kuncewicza i Edwarda Osóbkę-Morawskiego za okrojenie — z przyczyn technicznych — publikacji w nr 21: „Rachunek sumienia" i „Ludowa kołyska".

tu Jego korzenie

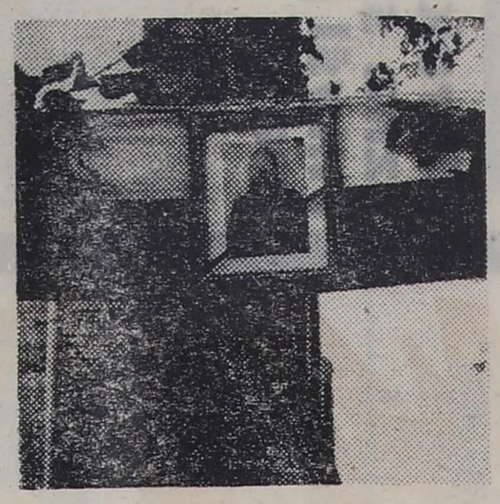

Za niespełna trzy miesiące obchodziłby swoje urodziny. Nie przyjedzie już jednak, jak co roku, 3 sierpnia, do Andrzejewa, by pomodlić się na grobie swojej matki Julianny i siostry — Zofii. Nie spotka się też ze swoim przyjacielem — ks. kanonikiem Janem Tyszką i nie pójdzie na spacer na urocze rozlewisko Broku, by wspomnieć minione lata. Przez cały okres swej 33-letniej prymasowskiej posługi powiadał wielokrotnie, że ten kawałek Polski jest najpiękniejszy na świecie, że ta ziemia jest dla niego wyjątkowym.

Podczas ostatniego pobytu w Andrzejewie, 20 października ub. roku powiedział: — Jest coś w człowieku, co każe mu wracać do miejsca urodzenia, do tej ziemi która go wyżywiła i wychowała. Jest to zew tej ziemi. Dlatego wracać tu będę zawsze, dopóki mi zdrowia i sił starczy.

Po raz pierwszy nie dotrzymał słowa. Odszedł na zawsze 28 maja br., w uroczystość Wniebowstąpienia Pańskiego o godz. 4.40.

Urodził się 15 kilometrów za Andrzejewem, w liczącej wówczas ponad 100 gospodarstw wsi Zezula, w dniu 3 sierpnia 1901 roku. Ojciec jego Stanisław był organistą w miejscowym kościele parafialnym. Edukację rozpoczął w sąsiadującej z organistówką rodziców, szkole rosyjskiej. W 1910 roku wraz z rodzicami przeniósł się do Andrzejewa. W latach 1915—1918 kontynuuje naukę w gimnazjum w Łomży i mieszka na stancji u prof. Krasickiego w istniejącym do dziś budynku przy ulicy Krzywe Koło. Tam też prowadził działalność w harcerstwie. W 23 roku życia, kończąc seminarium duchowne we Włocławku otrzymał święcenia kapłańskie. I tu rozpoczął pracę duszpasterską.

W 1946 roku zostaje biskupem ordynariuszem lubelskim, a w dwa lata później papież Pius XII mianuje go metropolitą warszawsko-gnieźnieńskim, a tym samym Prymasem Polski. 12 stycznia 1953 roku Stefan Wyszyński zostaje kardynałem. Ma na swym koncie szereg zasług: w 1950 roku, jako przewodniczący Episkopatu Polski, doprowadza do finalizacji porozumienia między Państwem i Kościołem. Jest głównym inspiratorem rozwinięcia przez Episkopat szerokiej akcji duszpasterskiej w Kościele Polskim — misji skierowanej głównie dla umocnienia rodziny, jako podstawowej komórki społecznej. Nie sposób wymienić wszystkich jego działań, inicjatyw — jako duchownego, męża stanu — których nadrzędnym celem było dobro polskiego narodu.

Dzisiejsza Zezula (na zdjęciu) to niewielka, licząca zaledwie 72 gospodarstwa, wieś. Po drewnianym kościółku, w którym późniejszy Prymas Polski przyjmował pierwsze sakramenty święte nie pozostało nawet śladu. Posłuchajmy mieszkańców:

— Kiedy do nas przyjeżdżał, to wcale nas się nie wstydził. A my przecież prości ludzie — wieś prosto z pola się szło, od gnoju, a on nas witał, rękę podawał. Pytał o kłopoty, o radości. Cieszył się razem z nami i smucił. Myśmy go bardzo kochali.

— Chcielibyśmy, żeby był pochowany u nas, na andrzejewskim cmentarzu. Ale nie można, kościelne przepisy nie pozwalają. Opuścił nas, ale i tak pozostanie na zawsze między nami.

Wawrzyniec Kłosiński

zdarzenia

biurokratyczna stonka i myśl pokątna

W dniu 20 stycznia br. 75 członków Wojewódzkiej Komisji Przedzjazdowej otrzymało listy-zaproszenia do publicznej wypowiedzi na temat aktualnych problemów partii. Zachęcaliśmy w nich do zaprezentowania — przez pryzmat osobistych przemyśleń — własnych rozterek i wątpliwości wynikłych z nowej sytuacji kraju. Żeden spośród licznej rzeszy adresatów nie wywiązał się z tej — naszym zdaniem — ważnej powinności partyjnej. Zwróciliśmy się więc ponownie do członków Wojewódzkiej Komisji Przedzjazdowej, tym razem z pytaniem: dlaczego nie skorzystali z okazji do wypowiedzi? Oto kolejne, po prezentowanych w dwu poprzednich numerach, głosy łomżyńskich aktywistów.

GRZEGORZ MASKIEWICZ, mistrz i sekretarz POP w Zakładach Mechaniczno-Precyzyjnych „Mera-Błonie" w Zambrowie: — Właśnie nosiłem się z zamiarem udzielenia odpowiedzi na wasz list, ale ile razy zasiadałem do napisania moich refleksji, zawsze brakowało mi miejsca, czasu, nie mogłem pozbierać moich myśli. Dobrze się więc stało, że postanowiliście mnie odwiedzić i tę odpowiedź ode mnie wyegzekwować, bo przygotowywałbym ją chyba jeszcze długo.

Jako sekretarz POP przeprowadzałem z członkami partii wiele rozmów. Wszyscy byli zdania, że na IX Zjeździe, który nazywamy Nadzwyczajnym, powinny być wyjaśnione raz na zawsze nadzwyczajne sprawy. Myślę tu przede wszystkim o rozliczeniu za działalność i podejmowane decyzje poprzedniej ekipy rządzącej. To ona doprowadziła kraj do takiej sytuacji, w jakiej w tej chwili jesteśmy, i doprawdy nie rozumiem, dlaczego tak długo zwleka się z tym podstawowym problemem. Jest to w tej chwili temat, który pojawia się na ustach wszystkich towarzyszy. Wisi nad całym krajem i coraz bardziej jątrzy umysły obywateli.

Założenia programowe na IX Zjazd są, moim zdaniem, bez zastrzeżeń. Projektowane zmiany statutowe pozwalają liczyć, jeśli będą godziwie przestrzegane, na całkowicie zdemokratyzowaną Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą. Tak się akurat złożyło, że wstępowałem w jej szeregi właśnie w latach siedemdziesiątych, a więc w okresie, kiedy wkroczyła w nie statystyka i moda na ilość, wskutek tego dostało się do niej bardzo dużo ludzi z przypadku, dla własnych korzyści, umocnienia układów, fotela, biurka. Ja do partii wstępowałem świadomie i dzisiaj także nie żałuję tej decyzji.

Jak naprawić kraj, aby jak najszybciej powrócił do normalnego życia? Myślę że to zdezorientowanie i zawieszenie będzie trwało do czasu, kiedy władza nie zdobędzie na nowo zaufania obywateli. Deklaracje, obietnice, na pewno są potrzebne, lecz nade wszystko konieczne jest działanie i myślenie po nowemu.

W naszej partii nadal bardzo mało jest robotników. Przeważają pracownicy administracyjni z różnych biur i urzędów. Bez decydującego głosu robotników nie możemy mówić o partii robotniczej. Wydaje mi się, że IX Zjazd będzie przede wszystkim zjazdem klasy robotniczej, a nie urzędników i biurokratów, kurczowo trzymających się przepisów, zakazów i nakazów. Z taką partią robotnik niewiele ma wspólnego. On musi być przekonany i widzieć, że to jest jego partia. Oczekuję więc zmiany proporcji udziału w samym Zjeździe na rzecz robotników.

Często słyszy się o schematach zebrań, schematach wypowiedzi, ba, nawet schematach dyskusji. Kto odważnie wypowiadał się, krytykował zło, uważany był za intruza, wręcz za człowieka nienormalnego. Teraz widzimy, do czego to zbiorowe partyjne milczenie o najważniejszych sprawach, pokątne rozmawianie, śmianie się z treści krążących kawałów, doprowadziło nasz kraj. Bezpośrednią przyczyną stała się informacja, dzielona na lepszych i gorszych, dojrzałych i niedojrzałych, a w rezultacie jej całkowity brak. Jak do nas powinny docierać najnowsze wiadomości — tego uczy „Solidarność". Oni nie mają takiej bazy, jak my, a jednak potrafią sobie zorganizować całą sieć! Wykorzystują wszystko: teleksy, telefony, zwykłe powielacze. Który wydział propagandowy kalałby się tymi urządzeniami?

Myślę, że w ciągu ostatnich kilku miesięcy dużo zmieniło się w świadomości członków partii. Inaczej mówią, inaczej dyskutują. Większą uwagę powinniśmy przywiązywać nie tyle do wypowiedzi, co do samych wniosków, ich realizacji. Samo mówienie, nawet przypominanie, niczego jeszcze nie załatwiło. To dobrze, że ludzie myślą, dyskutują, przejmują się losem swego zakładu, kraju, środowiska. Po poprzednim milczeniu zdumienie człowieka ogarnia, jak tu nagle wszystkim rozwiązały się języki. Każdy chce mówić. Każdy chce żądać. Musimy raz na zawsze uświadomić sobie, że unikaniem problemów, zapominaniem ich do niczego nie dojdziemy.

W naszej POP wiele razy mówiliśmy (dwa-trzy lata temu) o tym, co wyrabia się w naszym kraju. Wiedział też o tym każdy przeciętny obywatel. Widać to było także w sklepie. Ten sam towar, ładniejsza etykieta i już „ładniejsze" ceny. Jak one szybko szły w górę!

Dlatego mówię, partia może być prężna, jeśli będzie partia naprawdę robotniczą. Należy wcielić jak najszybciej w życie owe zasady demokratyczne, o których tyle się mówi: swoboda wypowiadania się, sprawna informacja, bez wyważania i podziału.

Zwykliśmy określać partię — partią kierowniczą. Ten przywilej może ona utrzymać posługując się nie od święta, lecz codziennie, prawdą. I jeszcze jedno. Musi mieć w swych szeregach nie stonkę biurokratyczno-administracyjną, ale pracowitych, uczciwych, oddanych jej sprawie ludzi, ze znaczącą przewagą robotników.

STANISŁAW MAZUR, naczelnik Urzędu Gminy w Kłukowie: — Później coś napiszę. Teraz nie mam czasu, bo przygotowuję pracę magisterską.

DANUTA KULAGOWSKA pedagog w Szkole Podstawowej nr 1 w Kolnie: — Nie odpowiedziałam, bo uważałam, że skoro przekazaliśmy takie informacje do Komitetu Miejsko-Gminnego w Kolnie, to nie było już potrzeby pisania do was. Mnie osobiście interesują przede wszystkim sprawy szkoły i ZHP. W tym zakresie zgłosiliśmy ogromnie dużo wniosków i postulatów. Zebrania naszej POP były niezwykle burzliwe i owocne.

Mogłabym, oczywiście, napisać o tym wszystkim do „Kontaktów", ale nie sądzę, żeby to było sensowne, skoro nasze postulaty zostały skierowane do instytucji, a część z nich jest już realizowana. Poza tym ja tak dużo pracuję społecznie, że nie miałabym nawet czasu wam odpisywać.

ANTONI ZAREMBA, pracownik GS-u w Szumowie: — Ależ ja odpowiedziałem wam i to z półtora miesiąca temu. Pamiętam dokładnie, bo konsultowałem nawet z sekretarzem na zasadzie: „Co dwie głowy, to nie jedna". Sprawdzę jeszcze, czy to na pewno zostało wysłane.
(Okazało się jednak, że nie, gdyż sekretarz Cwaliński uważał za konieczne skonsultowanie tych treści na plenum. Najwidoczniej do tej pory jeszcze nie skonsultował).

WIESŁAW ZADROGA, pracownik Fabryki Przyrządów i Uchwytów w Kolnie: — Konsultowałem tę sprawę nawet z tow. Jaworkiem. Na pewno więc nie miałem złej woli. Później jednak wypadła mi jakaś podróż służbowa i zapomniałem. Ale jeżeli bardzo chcecie, to jeszcze mogę wam napisać.

Notowali: S.Z. i D.A.W

Rysunek Antoniego Kowalskiego

pod stawą

polski dylemat - nadzieje i zwątpienia

Baba Jaga i polityka

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

dlatego, że zdobyliśmy poparcie mas robotniczych i chłopskich, bo one rozumiały i akceptowały polską drogę do socjalizmu.

Z tej słusznej drogi zepchnął nas Kominform na, nieadekwatną do specyfiki Polski, drogę „jedynego" socjalizmu. Choć ta droga została częściowo potępiona przez XX Zjazd i po dwakroć próbowaliśmy szukać odnowy naszego chorego życia publicznego, to eksperymenty się nie udawały, ponieważ — zamiast zmienić system — zmienialiśmy osoby, i to tylko na samym szczycie.

Mieliśmy dotychczas cztery etapy rozwoju kraju; obecnie wkraczamy w etap piąty. Były to: trzy lata polskiej drogi do socjalizmu; osiem lat „kultu jednostki" na naśladowanej drodze „jedynego" socjalizmu; czternaście lat nieudanego października — na wyż. wym. drodze; dziesięć lat „radosnej twórczości" z rachunku długów zagranicznych — też na wym wyż. drodze. Tylko pierwszy, najtrudniejszy, powojenny okres był udany. Trzy nieudane okresy zostały zbilansowane i ocenione przez opinię publiczną: drugi na VIII Plenum PZPR w październiku 1956, trzeci także na VIII Plenum, na początku 1971 roku; czwarty oceniany jest najwnikliwiej — od sierpnia 1980 do chwili obecnej. Najmniej zaś znany jest społeczeństwu okres pierwszy, gdyż nie tylko nie ogłaszano prawdziwej historii Polski Ludowej tego okresu, ale go wręcz fałszowano. Doszło do tego, że fałszowano nawet Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, gdy bezmyślnie usiłowano zabić metodę milczenia autorów tego Manifestu. Istnieją w maszynopisach wiarygodne opracowania historii Polski Ludowej do grudnia 1948 roku; posiadają je nawet — w hermetycznie zamkniętych szufladach — niektóre instytucje historyczne, ale nie są one udostępnione ani społeczeństwu, ani też, uczącej się „historii Polski", młodzieży.

Kiedy teraz dyskutujemy i pracujemy nad reformami i odnową, jak rzeczą arcytrudną jest jej prawidłowe zaprojektowanie, jeśli się nie sięga do źródeł powstania Polski Ludowej i przyczyn jej chorób. Spróbuję naszkicować niektóre przyczyny naszych chorób ustrojowych, bowiem niewiele pomoże samo wskazywanie skutków.

Pierwsza przyczyna wypływa z teorii „ograniczonej suwerenności". Nie powinny się powtarzać argumenty zastosowane w „wyborach" z roku 1957, kiedy to nie tylko Gomułka, ale i episkopat polski nawoływały do głosowania bez skreśleń na jednej liście „wyborczej". Takie „argumenty" przypominają bajki, którymi straszy się niegrzeczne dzieci. Przy narodzinach autentycznych związków zawodowych, które klasa robotnicza i chłopi musieli wymuszać strajkami, również straszono społeczeństwo Babą Jagą, i nawet niektórzy naprawdę się jej bali.

Druga przyczyna choroby, to nasze życie „społeczne" na niby. Mieliśmy na niby związki zawodowe, niektóre partie, spółdzielczość, Sejm, rady narodowe, front narodowy itp. „Jedyny" socjalizm bowiem nie przewidywał w swych strukturach nawet Towarzystwa Hodowli Kanarków, które mogliby sobie zorganizować obywatele bez zgody partii rządzącej.

Trzecia przyczyna to bezwzględna cenzura, która czyniła wielkie spustoszenie w nauce i kulturze, w historii, w statystyce i propagandzie.

Czwarta dotyczy niejawności życia gospodarczego. Przed wojną mogliśmy operować tylko budżetem przekładanym Sejmowi, bo mieliśmy gospodarkę głównie kapitalistyczną, ale i te kilka czy kilkanaście przedsiębiorstw państwowych ujawniało swoje bilanse w prasie, i kto chciał, mógł się zapoznać z ich gospodarką. Obecnie prawie całe nasze życie gospodarcze jest upaństwowione, a my ogłaszamy tylko i wyłącznie budżety państwowe, a nie czynimy tego odnośnie bilansów zjednoczeń i przedsiębiorstw, a przecież ten „sektor" gospodarki jest wielokrotnie większy od budżetu. Wprawdzie zjednoczenia i przedsiębiorstwa sporządzają swoje bilansy i składają je za pośrednictwem resortów do Ministerstwa Finansów (co praktycznie służy dotychczas jako podstawa przyznawania premii za działalność), ale nie zestawia się bilansu ogólnego dla Sejmu i rządu oraz dla opinii publicznej. Kiedy pewnego razu zapytałem odnośnego dyrektora departamentu w Ministerstwie Finansów, czy sporządza się ogólne bilansy, otrzymałem odpowiedź, że nie, bo „nikt tego nie wymaga". A gdy jeszcze zapytałem, czy mają materiały do takich bilansów, żeby mogły się zgadzać co do grosza, i czy — ich zdaniem — powinny być takie bilansy sporządzane, to otrzymałem odpowiedź, że materiały mają, choć nie tak ścisłe, aby zgadzały się co do grosza, ale powinny być one robione. Bez bilansu nie można prowadzić właściwej polityki gospodarczej ani gospodarki kontrolować, zwłaszcza że my nieprawidłowo obliczamy dochód narodowy, zaliczając do niego, zamiast do straty narodowej, „buble" (których wytwarzamy dużo). Przecież „buble" musimy kiedyś spisać na straty, a tymczasem zużyliśmy cenny surowiec, opłacili robociznę, ponieśli koszty transportu, energii itp.

Albo: konia z rzędem temu, kto znajdzie w bilansie choćby złotówkę przysporzonego majątku przez czyny społeczne. Przecież jeżeli rzeczywiście wykonane zostały takie czyny, powinny być one ocenione i rejestrowane poza bilansem, nie mieszane z gospodarką bieżącą, gdyż to zaciemnia jej obraz; w wielu przypadkach niedołęstwo administracji gospodarczej może być łatane czynem. Gdy np. powstaje na wsi droga, dom czy szkoła, to następnie musi być zamieszczone w bilansie, a równocześnie należy czynić odpisy amortyzacyjne na koszty kapitalnych remontów w przyszłości.

W bilansach kwartalnych, czy choćby rocznych, powinniśmy odnaleźć wszystkie dysproporcje i rezerwy, a nie dopiero poszukiwać ich przez dziennikarzy z TV. Muszą być ujawniane wszystkie manka i kradzieże, odpisy i zniżki towarów. Każde przyjęcie pod zarząd przedsiębiorstwa czy zjednoczenia także powinno znaleźć odbicie w bilansie, aby właściwie rozliczać dyrektorów z ich pracy.

Piąta przyczyna to wadliwa struktura administracyjna i przynajmniej dwukrotnie większa, niż potrzeba, biurokracja. Wystarczyłoby o wiele mniej ministerstw i centralnych urzędów. Ideałem byłoby istnienie resortów kompleksowych, których powinno być 9—10. Np. oświata, nauka i kultura to jeden resort. Problem nie w ilości resortów, wiceministrów czy departamentów, ale w nakładach na te cele, w wyposażeniu, w kontaktach z nauką i kulturą świata. Komunikacja kolejowa, wodna czy kołowa oraz łączność — to także jeden kompleks zagadnień i nie powinno się go rozbijać. Przemysł, handel wewnętrzny i zagraniczny oraz zaopatrzenie, choć stanowią olbrzymi zespół problemów, dla normalnego funkcjonowania powinny działać w całości. Jeśli przemysł wytworzy „buble", powinien odpowiadać także za ich zbyt, wtedy może uniknęlibyśmy ich produkcji. Oglądałem audycję telewizyjną nt przemysłu maszynowego, który swoje braki usprawiedliwiał niedostatkiem odlewów, dostarczonych przez „kolegę", a — z kolei — ten odpowiedzialność przerzucał na „kolegę" od dostaw piasku giserskiego. Przecież wszystkie te trzy problemy winny się znajdować w jednej ręce. Dobry administrator sobie z tym poradzi; lżej nawet kierować jednostką większą aniżeli niesłusznie rozdrobnioną.

Szósta przyczyną są ci rozmnożeni „wice": wicepremierowie, wiceministrowie, wicedyrektorzy, wicenaczelnicy. Każdy taki niepotrzebny „wice" blokuje gabinety, mnoży sekretarki i samochody służbowe, a nie przynosi żadnego pożytku, tylko powiększa w stylu pracy kakofonię i odgradza szefa od części problematyki. Uczyniłem kiedyś osobisty eksperyment: w instytucji, którą kierowałem, miałem 4 zastępców i 24 naczelników; wszystkich zastępców się pozbyłem, którzy tylko byli mi zawadą, a ilość naczelników zmniejszyłem do 8. Z 131 etatów zeszliśmy do 40, ale jednocześnie usprawniła się praca i obroty wzrosły 3-krotnie. Trzy razy mniej personelu, a 8 razy więcej obrotów! Toż to rewolucyjna zmiana relacji — 1:24!

Naszą biurokrację można bardzo łatwo zmniejszyć o 1/2, ale nie trzeba zaczynać od zwalniania sprzątaczek i maszynistek, tylko od niepo-

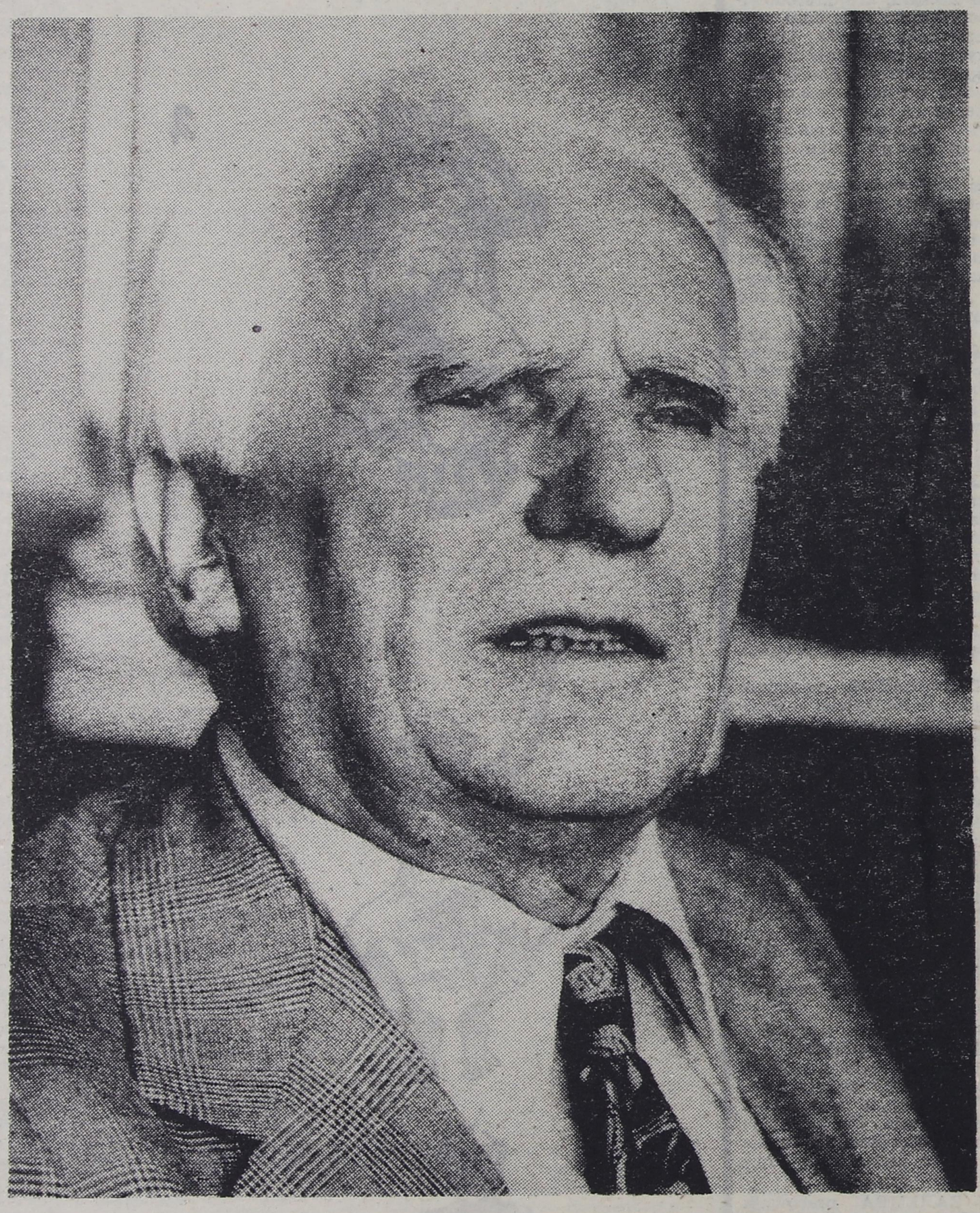

trzebnych dyrektorów i ich zastępców. Rezerwy zaś personalne trzeba przesuwać tam gdzie ich brak. Choć mamy za wielką biurokrację, to jednocześnie mamy kolejki interesantów, gdyż najmarniejszy biurokrata wyznacza sobie dni i godziny, w których raczy przyjmować. Obywatel, chcąc coś załatwić, musi raz zwolnić się z pracy, żeby się dowiedzieć, kiedy dany urzędnik przyjmuje, a drugi raz — aby załatwić sprawę, jeżeli nie zdarzy się, że urzędnik zachorował albo poszedł na urlop i nikt go w tym czasie nie zastępuje. Powinno wyjść rozporządzenie premiera, że interesanci są załatwiani w ciągu wszystkich godzin urzędowania.

Siódma — to nomenklatura, dwuwładza, opóźnianie spraw, zacieranie odpowiedzialności. Wszystko dla fetyszu „kierowniczej roli partii". Przecież te branżowe „komórki" w KC KW, to istne biblijne „ucha igielne", przez które nie może się przecisnąć wielbłąd. A gdy nawet się przecisnie, rezultat jest taki, jak po obecności słonia wśród porcelany. Przecież mamy teraz dość ludzi partyjnych, żeby ich mianować na kierownicze stanowiska, po cóż więc drugi tor funkcjonariuszy znacznie mniejszego kalibru? Aby tym pierwszym przeszkadzali rządzić i pracować? Po co zajmować dla nich tyle pomieszczeń? Przecież kontrolować działalność kierowników życia państwowego można przez komisje społeczne specjalistów. Kontrola nie musi być codzienna, zawodowa, ale okresowa, kiedy omawia się i ocenia sprawozdania z działalności. Gdybyśmy zadali sobie trud i obliczyli, ile kosztuje i ile szkody wyrządza nomenklatura, toby nam włosy stanęły na głowie z przerażenia. Wiem to z autopsji. Udało mi się kiedyś 10 lat działać bez nomenklatury z bardzo dobrymi rezultatami.

Ósma przyczyna to niewłaściwe zlokalizowanie „komórek" personalnych i organizacyjnych. Mamy liczne departamenty personalne i organizacyjne, wydziały, sekcje i referaty. Sprawy personalne i organizacyjne muszą bezwzględnie należeć do szefa. Nie wolno ich powierzać nikomu, a zwłaszcza ludziom oderwanym od toru, gdzie przewija się cała problematyka. Zakres tych prac winien być zlokalizowany w „gabinetach" czy „departamentach ogólnych", jako organach szefa. Wszystkie nieszczęsne „reformy", choćby takie, jak likwidacja gmin zbiorowych i ustanowienie gromad, a potem odkrywanie Ameryki i wracanie do punktu wyjścia, drobienie powiatów, „reformowanie" spółdzielczości, łączenie i dzielenie w sposób nieprzemyślany poszczególnych jednostek, ostatnia reforma administracji itp. — to w dużym stopniu wina tych „komórek". Są problemy, które raz dobrze zorganizowane, trzeba zostawić w spokoju. Ale jak ma postąpić „komórka", która nie dawałaby na co dzień „produkcji"? Przecież ona skazałaby się na zagładę, mogłaby się okazać niepotrzebna. Więc wymyśla się „z głowy" różne absurdy, aby mieć potem co likwidować i przywracać dawny stan, który okazał się lepszy przed „reformą". Przez likwidację tych niepotrzebnych, źle zlokalizowanych i — można by powiedzieć — uprawiających nieświadomie sabotaż „komórek" dałoby się zaoszczędzić grube miliardy.

Kilka przykładów z osobistego doświadczenia, dotyczących bezmyślności biurokratycznej. Kiedy w 1956 r. objąłem kierownictwo faktyczne pewnego centralnego zarządu (8 lat byłem, z powodów politycznych, tylko kierownikiem „teoretycznym" i nie znałem nawet swoich czterech zastępców), uderzyła mnie, ciągle napływająca, fala przegranych spraw pracowniczych. Każda zaś sprawa opiewała na kilkadziesiąt tysięcy złotych. Był to owoc działalności „personalników", którzy szafowali § 26 i zwalnianiem bez wypowiedzenia. Sądy pracy podchodziły do tych spraw znacznie poważniej i na ogół pracownicy w nich wygrywali, a pracodawcy (państwo) przegrywało. Chcąc przerwać to gorszące widowisko, wydałem terenowym przedsiębiorstwom polecenie, aby przysyłały mi teczki spraw z użyciem § 26. Co się okazało? Otóż przez 10 lat nie przysłano mi żadnej teczki takich akt! Czy pracownicy zmienili się tak na lepsze? Nie! To bezmyślni personalnicy, otrzymujący jakieś antyhumanitarne instrukcje nomenklatury, tak szkodliwie postępowali i narażali sądy pracy na

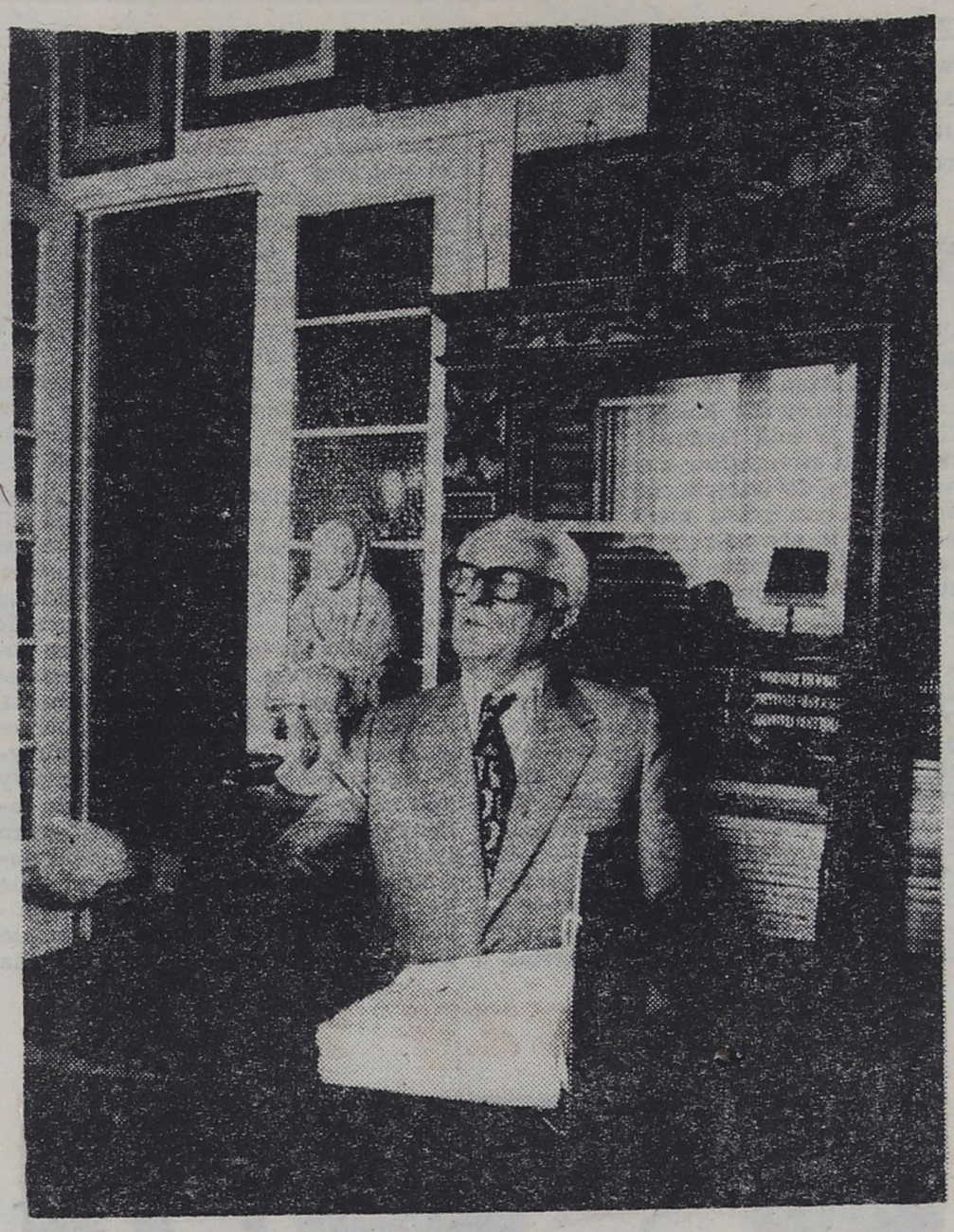

nawał niepotrzebnych spraw, a przedsiębiorstwa państwowe — na duże straty finansowe, nie licząc niepotrzebnych przerw w pracy ludzi niesłusznie zwalnianych bez wypowiedzenia.

Inny przykład bezmyślności biurokratycznej dotyczył zarządzenia, którego cel dawno wygasł. Przeglądając codzienną korespondencję, napływającą do mojego biura, co tydzień znajdowałem tam 26 depesz jednakowego brzmienia: *„Wolnych łóżek nie ma"*.. Chodziło o łóżka sanatoryjne których już od wielu lat brakowało, gdyż żadnych nowych sanatoriów wtedy nie budowano, a zapotrzebowanie na leczenie stale wzrastało. Zapytałem urzędnika, co on robi od lat z tymi depeszami, które ktoś przecie redaguje, nadaje, ewidencjonuje w dzienniku korespondencji, no i wreszcie za nie płaci. Potem ktoś te depesze znów ewidencjonuje, rozdziela, czyta, przechowuje w archiwum, a wszystko to stwarza niepotrzebne koszty, niszczy papier, zabiera czas urzędnikom. Ułyszałem, że składa je do teczki i odnosi do archiwum. On właśnie był naczelnikiem „komórki" organizacyjnej... Zredagowałem sam krótki komunikat, żeby przysyłali depesze tylko wtedy, kiedy będą mieli wolne łóżka, to znaczy: „na święty nigdy" — i już przez 10 lat był spokój.

Jeszcze jeden charakterystyczny przykład. Podobnie jak z wyrokami sądów pracy, było z Komisją Arbitrażową. Wodę mineralną produkowały uzdrowiska, kolej ją przewoziła, a sprzedażą zajmował się hurt spożywczy. Ponieważ wodę się „spożywa", więc „komórka" organizacyjna Ministerstwa Zdrowia włączyła ją do hurtu spożywczego. „Komórki" organizacyjne dwu resortów: Zdrowia i Handlu Wewnętrznego — nie były zorientowane, że w Polsce jest szalony niedostatek magazynów. Kiedy hurtowi spożywczemu brakowało powierzchni magazynowej na herbatę, pieprz, kawę, mąkę, cukier itp. — niechętnie sprzedawał tanią wodę mineralną, zajmującą mu powierzchnię. Więc „dla świętego spokoju" przyjął parę skrzynek niechcianego towaru i ustawił w kącie, aż się zepsuł i można go było komisyjnie spisać na straty. Kłopot też był ze stłuczkami butelek pustych i wodą napełnionych. Powstał problem: kto ma ponieść ich koszty: uzdrowisko, kolej czy wreszcie hurt spożywczy. Wszystkie trzy instytucje nie wychodziły z ustawicznego arbitrażu, który winną instytucję dużo kosztował. Francja zużywała 100 razy więcej wody mineralnej niż Polska, Czechosłowacja 10 razy więcej, a w naszym kraju krążyła bałamutna wieść, że Polacy nie chcą pić wody mineralnej. Zwróciłem się do „komórki" organizacyjnej MZ o przejęcie zbytu wód z resortu Handlu Wewnętrznego. Wniosek został odrzucony. Będąc przekonany, że tylko przejęcie zbytu we własne ręce może rozwiązać problem uczyniłem to wbrew stanowisku MZ. Rezultat był fantastyczny. Zbyt wody w nowym pionie gwałtownie się podnosił. Dziś na pewno jest kilkadziesiąt razy większy i ciągle wody mineralnej brakuje, bo działają w tej dziedzinie różne „komórki", żeby móc powiedzieć: „to nie ja, tylko kolega". Dla wyprodukowania butelki wody mineralnej musi istnieć „kooperacja" wielu resortów: kto inny produkuje butelki, kto inny kapsle, jeszcze inny dostarcza korki, nalepki, skrzynki więc często się zdarza, że któryś z tych kontrahentów „nawali". Np. kiedy w lecie najwięcej trzeba butelek, to huty — z powodu gorąca — wyznaczają sobie przestoje. A na zapas kupić butelek nie można, bo na przeszkodzie stoją limity finansowe, sztywno ustalone „na górze" wbrew życiu, no i magazynów w nadmiarze uzdrowiska także nie posiadają. Ciągle błędne koło, chociaż podobno mamy gospodarkę planową. Za mało w tym wszystkim logicznego myślenia, jak było w przypadku przykładowych depesz. I jak nasz socjalizm ma doścignąć, nawet prześcignąć kapitalizm, kiedy całe gromady bezmyślnej biurokracji nie tylko kładą się wielkim ciężarem na naszej produkcji, ale niekiedy wręcz przeszkadzają jej rozwojowi.

Podstawową jednostką gospodarczą winno być przedsiębiorstwo — ani za małe, ani za wielkie — na własnym rozrachunku gospodarczym. Muszą też być ustalone właściwe koszty produkcji, w żadnym razie nie przynoszące „planowanych" strat. Jeżeli państwo musi alimentować jakiś artykuł pierwszej potrzeby, to nigdy kosztem przedsiębiorstwa. Deficytowa produkcja nie wzbudzi zaufania ani kierownictwa przedsiębiorstwa, ani jego załogi, do zwiększenia wydajności pracy.

Poza tym trzeba eliminować wszelkie niepotrzebne pośrednictwo w postaci zjednoczeń. Usługi specjalne i niezbędne można załatwiać przez — powołane wolą samego przedsiębiorstwa — zrzeszenia, coś w rodzaju „związków zawodowych" jednostek gospodarczych.

Wielkim problemem do rozstrzygnięcia jest unikanie nadmiernej ilości przewozów przy zbycie i zaopatrzeniu. Powinno się oszczędzać każdy kilometr, zaopatrywać możliwie najbliżej danego przedsiębiorstwa, a własny zbyt kierować najkrótszą drogą.

Małe inwestycje, które mogą mieć wpływ na efektywny wzrost produkcji, trzeba uzależnić od dyrekcji i załogi przedsiębiorstwa.

Wreszcie wielki temat: samorząd robotniczy. Załodze trzeba jak najczęściej składać sprawozdanie z działalności i wyników gospodarki oraz uwzględniać wnioski robotników, którzy najlepiej dostrzegają wszystkie przeszkody produkcyjne.

Można by przyjąć za pewnik, że „każdy rząd czy zarząd nie jest tyle wart, na ile jest oceniany przez ogół" i „jeżeli rząd czy zarząd nie ma zaufania ogółu, to na pewno winien jest nie ogół, ale rząd czy zarząd". Władze nadzorcze powinny wnikliwie badać, czy kierownictwo danej jednostki gospodarczej lub administracyjnej cieszy się zaufaniem ogółu, a jeśli nie, ingerować i dążyć do zmiany kierownictwa, gdyż tylko dyrekcja ciesząca się zaufaniem załogi może dobrze nim zarządzać.

EDMUND OSÓBKA—MORAWSKI

Fot. GABOR LÖRINCZY

kontakty kontaktów

Ostatnio coraz większą uwagę zwraca się na solidne i rzetelne wywiązywanie się ze swoich obowiązków w pracy. Wydaje mi się, że powinno dotyczyć to wszystkich bez wyjątku, w tym także i kierowców taksówek osobowych. W ciągu zaledwie jednego dnia; 1 marca br. spotkałem się z dwoma przypadkami lekceważenia pasażerów przez kierowcę. Jeżdżą nie tam gdzie klient pragnie jechać, lecz tam gdzie — jak to sami mówią — im się lepiej opłaca. Należałoby kierowców taksówek (przynajmniej niektórych) zapoznać z regulaminem.

Czytelnik
z Łomży

*

W związku z artykułem pt. „Rozum na złomowisku" zamieszczonym w „Kontaktach" nr 5 z dnia 22.02. 1981 r. Zarząd „Społem" Wojewódzkiej Spółdzielni Spożywców w Łomży informuje, że winę za przekazanie na złom 300 sztuk pokryw i 300 sztuk sitek do kotłów o wadze 300 kg i wartości złomowej 27 złotych ponoszą magazynierzy magazynu nr 6 „Społem" WSS w Łomży.

Brak nabywcy na w/w pokrywy i sitka do kotłów nawet po cenie minimalnej oraz fakt nieodpłatnego pozostawienia ich w magazynie przez odbiorcę kotłów — przedstawiciela Zakładów Przemysłu Ziemniaczanego w Łomży, nie stanowił uzasadnienia do przekazania ich na złom, ponieważ istniała jeszcze możliwość przesłania ich do producenta kotłów.

Za niedopełnienie obowiązków wydania towaru w komplecie i nie powiadomienie kierownika działu o istnieniu w magazynie zbędnych pokryw i sitek oraz za przekazanie ich na złom, Zarząd WSS postanowił ukarać upomnieniem kierownika magazynu i jego zastępcę.

WIESŁAW DĘBIŃSKI
Wiceprezes Zarządu
d/s Handlu i Usług
WSS „Społem" w Łomży

☆

Na spotkaniu władz miasta Łomży z mieszkańcami w dniu 27 lutego br. podniesiono problem nieszczelności instalacji na gaz propan-butan w butlach przenośnych.

Biorąc pod uwagę szczególnie duże zagrożenie dla odbiorców gazu, przebywających w otoczeniu wadliwie działających instalacji informujemy, że w przypadku stwierdzenia przez odbiorcę jakichkolwiek nieprawidłowości w eksploatacji urządzeń gazowniczych, a w szczególności nieszczelności instancji należy natychmiast powiadomić o tym dostawcę gazu. Każda zgłoszona usterka jest i będzie usuwana przez dostawcę w trybie awaryjnym. W przypadku braku możliwości usunięcia usterki instalacja taka zostanie wyeliminowana z eksploatacji.

inż. ROMAN RISZKA
dyrektor Wojewódzkiego
Przedsiębiorstwa Gospodarki
Komunalnej i Mieszkaniowej
w Łomży

☆

W szeroko obecnie prowadzonej w kraju dyskusji na temat odnowy poczesne miejsce zajmuje również problem rzetelnej informacji w środkach masowego przekazu. Stwierdzam, że w „Kontaktach" nr 15, w rubryce „Spięcia" ukazała się notatka nieprawdziwa: „jaki wpływ na opryskliwość zlewniarki w Kossakach Nadbielnych ma wybitne umuzykalnienie prezesa Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Zambrowie?" Informuję, że nie posiadam żadnych zdolności z zakresu muzyki, a więc nie jestem muzykalny. Robienie mi tego rodzaju reklamy, jest dla mnie trochę kłopotliwe. Gwoli ścisłości podaję, że graniem zajmuje się mój drugi zastępca, jednak jego uzdolnień w tym zakresie nie mogę ocenić ze względu na brak w tym kompetencji.

mgr inż. STANISŁAW RADZIWON
prezes Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej w Zambrowie

Z prof. Anną Kutrzebą-Pojnarową z Katedry Etnografii Uniwersytetu Warszawskiego — o historii i tradycji Kurpiowszczyzny — rozmawia Piotr Dyczek.

orka przy szabli

— Pani Profesor należy do tych ludzi, którzy od lat znają i rozumieją Kurpiowszczyznę.

— Moje kontakty z Katedrą Etnografii UW, a następnie przejście do pracy w tej Katedrze, wiążą się właśnie z Kurpiami. W roku 1952 ówczesny kierownik Katedry Etnografii, prof. Witold Dynowski, namówił nas, kilku etnografów z ośrodka krakowskiego, do wzięcia udziału w organizowanym przez niego, na zlecenie Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, międzyuniwersyteckim obozie dla studentów I roku ówczesnego Studium Historii Kultury Materialnej. Obóz został zorganizowany w Ostrołęce. Była to dla nas, krakowiaków, pierwsza okazja zobaczenia Kurpiów. W tematykę wprowadzili nas prof. Dynowski, prof. Piaścik i doc. Chętnik. Od tej pory obozy odbywają się regularnie, ale tylko trzy były organizowane w Puszczy Zielonej, bo trzy następne — w Puszczy Białej (w Pułtusku). Materiały z trzech pierwszych zostały przekazane do Zakładu Etnografii Instytutu Historii Kultury Materialnej Polskiej Akademii Nauk w Warszawie; powstał on w roku 1954 Byłam przez wiele lat kierownikiem tego Zakładu, który przecież rozpoczynał swoją pracę od Kurpiów. Jej efektem są trzy tomy pozycji „Kurpie — Puszcza Zielona" (1962, 1964, 1965) i szereg monografii tematycznych, jak: Pokropka na temat budownictwa kurpiowskiego, Olędzkiego o kurpiowskiej kulturze artystycznej czy też Paprockiej o rzemiośle. Obecnie Zakład przeszedł do szerszej tematyki i przygotowuje się m.in. do wydania dalszych tomów pracy zbiorowej „Etnografia Polski — przemiany kultury ludowej" (pierwszy ukazał się w roku 1976, a drugi wyjdzie w tym roku). Natomiast ja i moi koledzy w Katedrze Etnografii UW powracamy do Kurpiów przez prace magisterskie naszych uczniów.

— Problematyka kurpiowska przewija się również w licznych opracowaniach Pani Profesor. Publikacje te pozwalają w dużej mierze na kojarzenie tematu Kurpiów z Pani nazwiskiem. Zwraca w nich uwagę fakt, że nie traktuje Pani obszaru Puszczy Zielonej wyłącznie jako wyizolowanej enklawy.

— Nie można dzisiaj traktować Kurpiów jako terenu wydzielonego, ma on bowiem stare powiązania kulturowe z całym krajem. Np. tak charakterystyczne dla Kurpiów tkaniny wełniane o wielobarwnych pasach, wykonywane na poziomych krosnach, znane są z wykopalisk archeologicznych z terenu województwa gdańskiego i opolskiego, datowanych na XI—XIII w. Przykłady można mnożyć.

— Świadczy to, myślę, o dużej złożoności i wielowarstwowości kultury na tym obszarze. Sprecyzujmy zatem, dla jasności obrazu, sam termin „Kurpie".

— Teren ten określało się w dwojaki sposób. Obejmowano nim albo Puszczę Zieloną i Białą albo tylko Puszczę Zieloną, zwaną Kurpiami właściwymi. Oczywiście, termin ten stracił swoją jasność wobec stałego kurczenia się powierzchni lasów. Przekonaliśmy się o tym w trakcie wspomnianych wyżej badań. Kiedy szliśmy od skraju Puszczy w stronę Myszyńca i pytaliśmy spotkanych ludzi, czy to są Kurpie, oni z reguły odpowiadali: nie, Kurpie są dalej, koło Myszyńca. Zatarły się w pamięci ludzkiej dawne granice. Słuszne jest ograniczenie nazwy do terenu dawnej Puszczy, przecież do dziś nazywa się Kurpiów puszczakami Z punktu widzenia geograficznego zatem stwierdzić trzeba, że Kurpie to teren leżący między Omulwią, Pisą, Narwią i granicą Mazur.

— Położone w przeszłości na granicy państwa Kurpie mają malowniczą historię; były też zapewne wielokrotnie „odkrywane" w różnych okresach?

— Rzeczywiście są one tym regionem, który co pewien czas ktoś odkrywa na nowo. Zaczęło się już w wieku XVI, kiedy teren Puszczy Królewskiej — Zagajnicy — zaczął się zaludniać początkowo przede wszystkim bartnikami Wkrótce został on niejako „otoczony" pierścieniem miast królewskich: Łomża, Kolno, Nowogród, Ostrołęka, Chorzele, Przasnysz. To odkrycie powtórzyło się w wieku XVII, kiedy dotarły tam misje jezuickie, a misjonarze załamywali ręce i pióra nad poziomem życia ludzi i nędznym wyglądem domostw puszczańskich. Później imię Kurpiów zasłynęło w Rzeczypospolitej na skutek ich męstwa w czasie wojen szwedzkich. Powstała legenda kurpiowska o bohaterskim ludzie i jego patriotycznym zrywie. Legendarny bohater Stach Konwa doczekał się na Kurpiach swojego pomnika. Po wojnach szwedzkich teren się zaludnił. Uwłaszczenie przyniosło uregulowanie posiadłości rolniczych, utwierdziło zróżnicowanie społeczne. Wiek XIX odkrył Kurpie jako teren rolniczo-leśny o słabym poziomie rolnictwa i zdewastowanych przez zaborcę lasach. Na przełomie wieku XIX i XX rozpoczęło się odkrywanie Kurpiów jako regionu turystycznego, pociągającego zarówno pięknem krojbrazu naturalnego, przepaścistą puszczą, jak i — przede wszystkim — oryginalnym urokiem kultury kurpiowskiej. Składają się na nią: wyróżniające się spośród innych regionów kraju, drewniane budownictwo (ustępuje bodaj tylko podhalańskiemu), podobnie jak pod Tatrami, zachwycające bogactwem zdobień, które wykorzystuje rozmaite układy drewnianych płaszczyzn dla wydobycia efektów świetlnych; oryginalny ubiór ludowy — barwne jaki i wistki, pasiaste spódnice, wysokie czółka dziewcząt, czerwone kamizele i szare sukmany mężczyzn; wyroby tkackie, hafty na koszulach; wyroby z korzeni. Tutaj również wydobywa się z piasku bursztyn zdobiący stroje.

— Mimo to do literatury Kurpie trafiły dość późno.

— Pierwsze prace powstały w połowie XIX w. Pisali o nich Hipolit Gawarecki, Wiktor Czajewski, Ludwik Krzywicki, Karol Rotkowski, Zygmunt Gloger, Adam Zakrzewski i wielu innych. Od roku 1910 najbardziej zasłużony badacz Kurpiowszczyzny, sam pochodzący z jednej ze wsi kurpiowskich, etnograf Adam Chętnik, prowadził na tym terenie intensywną działalność naukową i organizatorską. Jemu zawdzięczają Kurpie m.in. skansen w Nowogrodzie, dwa razy niszczony w czasie obu wojen. Obok niego działał inny Kurp, prof. Franciszek Piaścik, architekt, szeroko znany także poza Kurpiowszczyzną.

— Powróćmy jednak do historii, do okresu konsolidacji Kurpiów. Była ona umacniana falami migracyjnymi rolników z terenu Mazur i Mazowsza.

— Tak, chociaż trzeba pamiętać, że ziemie na Kurpiach nigdy nie były dobre. Trzeba było włożyć wiele wysiłku, aby otrzymać plon Toteż obok rolnictwa, i wcześniej od niego, rozwijało się bartnictwo oraz rzemiosło, oparte o bogactwa lasu. Przez pewien czasu Kurpie zajmowali się również hodowlą koni. Te trudne warunki wychowały ludzi ambitnych, upartych i pracowitych. Chociaż mogło być odwrotnie: tacy właśnie ludzie przybywali na ten teren, bo tylko oni mogli znieść stworzone przez naturę warunki.

— Dużo się mówi o niejako wrodzonej godności Kurpiów.

— Ma ona również swoje uwarunkowania historyczne. Przecież do trzeciego rozbioru były to tereny królewskie, więc ich mieszkańcy cieszyli się większą wolnością osobistą. Do dziś mieszkańców okolic Łomży nazywa się „szlachtą kurpiowską". To właśnie o niej i „oraniu przy szabli" pisze w jednym z tomów „Mazowsza" Oskar Kolberg.

— Jednak trudne warunki zmuszały czasem do migracji.

— Oczywiście, jednak nie zawsze była to migracja czy raczej emigracja *par excellence*. Niejednokrotnie Kurpie wędrowali z wyrobami, aby je sprzedać w odległych punktach kraju. Był to rodzaj „eksportu" własnej kultury materialnej, ale również duchowej. Ten „handel zagraniczny" stał się formą szerokiego propagowania znajomości rękodzielnictwa. W czasach nam współczesnych funkcję tę pełni „Cepelia".

— Jak wyglądała rzeczywistość powojenna Kurpiów?

— Wojna nie oszczędziła i tego kawałka polskiej ziemi. Potem nastąpiła odbudowa i rozbudowa. W roku 1957 powstały Zakłady Papiernicze. Wielu rolników przeniosło się do pracy w przemyśle. Jak wynika z badań Paprockiej — ok. 50 proc. mieszkańców Kurpiów to tzw. chłoporobotnicy, zaś w ok. 20 proc. rodzin w przemyśle pracuje więcej niż jedna osoba. Dużo jest małych gospodarstw; ziemie, mimo nawożenia i starannej pielęgnacji, nie dają dużych plonów.

— Te zmiany struktury zawodowej zapewne znajdują także swoje odbicie w społeczności lokalnej, w jej życiu rodzinnym.

— Pociągają za sobą indywidualizację w ramach rodziny. Inaczej ona funkcjonuje, bo uległy zmianie jej wewnętrzne struktury. Zmienił się system wartości i oceniania ludzi. Jednak te wszystkie metamorfozy wynikają głównie ze stałego rozwoju i ciągłości procesów historycznych. Generalnie można stwierdzić, że kultura kurpiowska ostatnich dwudziestu lat uległa silnym zmianom przy zachowaniu odrębności tradycji.

— Zmienia się również wieś kurpiowska, także w wyglądzie.

— Dawne chałupy zastępują budynki użytkowe, stawiane na planie kwadratu, i wille, nie różniące się od stojących w innych regionach kraju. Dawne budownictwo rozpadło się ze starości albo zostało rozebrane, zgodnie z nowymi planami urbanistycznymi, stosownymi do naszego wieku. Sama pamiętam, jak cichaczem, nocą, rozebrano kiedyś najpiękniejszą chatę w Dylewie.

— Czy zamierają również dawne tradycje? Chociaż trzeba by zapytać szerzej: czy można odciąć się od swojej przeszłości?

— Myślę, że trzeba negatywnie odpowiedzieć na oba pytania. Drugiego pytania uzasadniać nie muszę; pierwsze przywołuje na myśl przykłady: zespół „Kurpianka", skansen w Nowogrodzie, samorzutnie powstające amatorskie zespoły pieśniarskie (ostatnio w Ksebkach), bogactwo propozycji rękodzielnictwa kurpiowskiego w „Cepelii", gawędziarze kurpiowscy... Nie robiono co prawda badań w tym przedmiocie, ale myślę, że mocna jest więź rodzin kurpiowskich z tradycją. Trzeba z podziwem spojrzeć na ten region kraju, który mimo trudnych dziejów tak dzielnie strzegł swojego imienia.

— Czego życzyłaby Pani Profesor Czytelnikom „Kontaktów".

— Pielęgnowania tradycji, bo mają być z czego dumni; dobrej pracy, bo cała historia Kurpiów na niej się opierała; powodzenia osobistego.

— Dziękuję za rozmowę.

Fot. GABOR LÓRINCZY

1968

Polskie Zakręty marzec

zdjęcia z wystawy w salonie warszawskiego ZPAF-U zreprodukował

Gabor Lörinczy

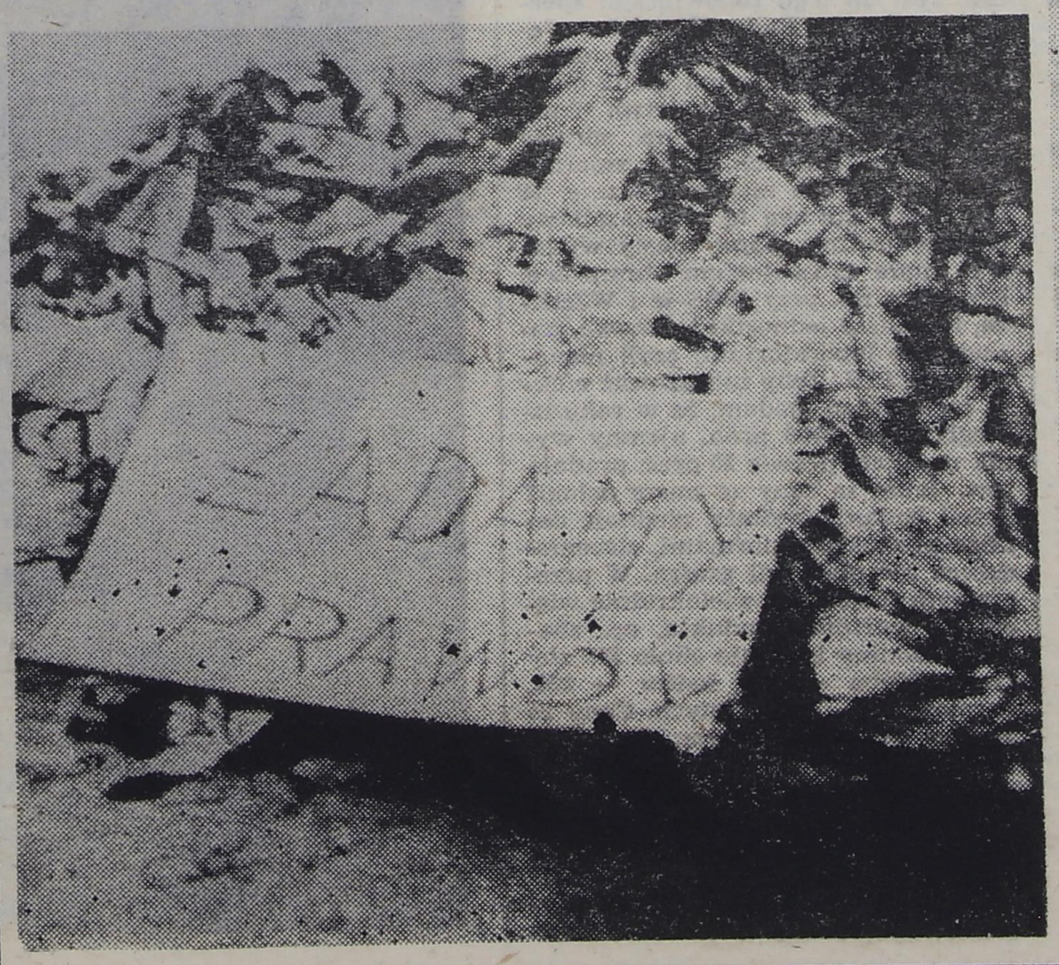

aneks

MARZEC 81

Nie trzeba kłaniać się Okolicznościom
A prawdom kazać, by za drzwiami stały
Cyprian K. Norwid

Na tym dziedzińcu 8 marca 1968 roku rozpędzono wiec studentów domagających się wolności słowa.
Wydarzenia Marcowe stały się symbolem brutalnych prześladowań niezależnej myśli, niszczenia kultury narodowej i jedności społeczeństwa polskiego.
Bądź solidarni, oddając sprawiedliwość pokrzywdzonym.
Kamienujący tę tablicę na przestrodze przyszłym pokoleniom.

studenci, pracownicy UW
robotnicy Warszawy

8 III 1981

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

— Cukierki chętnie byśmy wzięły — zapewniają stojące obok sklepu kobiety. — Toż dzieciaki są, jak nigdy, ich spragnione.

— A mąkę?

— Co za pytanie — przyjmują to wyraźnie za niewyszukany dowcip. — Każdą ilość!

— A margarynę, ryż?

— No przecież!

— To idźcie i weźcie sobie z zaplecza — chciało się zachęcić. Tylko że one dobrze widziały, jak zamykaliśmy sklep na cztery spusty i zakładali prowizoryczne plomby. Gorąco zresztą protestowały przeciw temu, bo wieś bez sklepu, i to w najgorętszym dla niej okresie prac polowych, oznacza wiele godzin traconych na bieganie do sąsiedniej miejscowości po każdy, dosłownie, drobiazg.

Co zrobiłyby widząc taką masę, dziś szczególnie atrakcyjnych, towarów? Sprawiłyby na poczekaniu lanie sklepowej czy też zastosowałyby wobec niej taryfę ulgową, jak to zwykle się czyni wobec ciężarnej? Bo widok, który zostałby na zapleczu, mógł niejedną gospodynię wyprowadzić z równowagi: połcie słoniny, rozrzuconej między starymi papierami, przypominały ochłapy dla psa, umazane czarną pastą do butów; kolorowe landrynki, zlepione w niekształtną bryłę, wywołać mogły prędzej mdłości niż łaknienie; wyciągane z kątów coraz to inne kartony z żywnością wlokły za sobą pajęczynę, przemieszaną z brudnymi paprochami. Mąka znajdowała się w osobnym pomieszczeniu, w workach rozrzuconych po składzie na opał. Z tego wszystkiego, co było w sklepie, do spożycia nadawały się praktycznie tylko pieprz ziołowy, ziele angielskie i budyń.

Obraz handlowania pod szyldem GS-u, jaki zastaliśmy w Jakaci, był tyleż bulwersujący, co żałosny. Jakby targowano nie w sklepie, nad którym czuwa wysoko opłacany sztab zaopatrzeniowców, księgowych i innych specjalistów, a na pustyni.

— Czy przecenione i przeterminowane puszki, które są wystawione na sprzedaż, były przez kogoś badane?

— Nie. Przyjechali z GS-u i przecenili.

— A ten ryż dlaczego nie sprzedany?

— Prezes GS-u nie kazał. Przyjechał i powiedział, że coś z tym nie tak, czymś zanieczyszczony. To sprzedałam tylko jeden worek, a resztę zostawiłam.

— Kiedy była tu inwenteryzacja?

— Jak przejmowałam sklep, dwa lata temu. Później nie.

Kilka kolejnych wpisów do sklepowego zeszytu kontroli, dających niejaki obraz „katorżniczej" pracy różnego rodzaju wizytatorów:

KWIECIEŃ 1976 r.: *„Podczas kontroli usterek nie stwierdzono. Zrobić półkę z towarami przecenionymi".*

CZERWIEC 1977 r.: *„Podczas kontroli stwierdzono stan sanitarny niedostateczny. Ogólny bałagan na sali sprzedaży".*

MARZEC 1978 r.: *„Należy dokonać deratyzacji".*

MAJ 1980 r.: *„Sprawdziłam"* i — nieczytelny podpis.

LISTOPAD 1980 r.: *„Wydano polecenie w trybie natychmiastowym doprowadzić sklep do właściwego stanu sanitarnego"* — napisali, jako ostatni, przybysze z Terenowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Łomży.

— Słoninę widzieli i to wszystko też — zapewnia sklepowa.

Czując widocznie niedosyt kontaktów z miejscowym GS-em, WZSR-em, Sanepidem czy wreszcie z kontrolerami, którzy pojawiali się niczym meteory i zostawiali, jako widomy ślad pobytu, odcinek z mandatu, pisała także sama. Na przykład tak:

MARZEC 1980 r.: *„Proszę o przeprowadzenie deratyzacji w sklepie [...] znajdują się myszy i szczury, które niszczą mi towar".*

CZERWIEC 1980 r.: *„Proszę o wymianę lodówki w moim sklepie w możliwie najszybszym terminie. Lodówka jest niesprawna technicznie od czasu, którego przyszłam pracować".*

WRZESIEŃ 1980 r.: *„Po raz drugi oświadczam, że nie posiadam urządzeń chłodniczych, a mam na stanie 120 kg słoniny, która nie cieszy się popytem, gdy ulegnie zepsuciu nie odpowiadam".*

Obejrzawszy całe to sklepowe antygospodarstwo — jedziemy razem z funkcjonariuszem KW MO i przedstawicielem WZSR-u, Markiem Dłużyńskim, do wiceprezesa ds. handlu w GS-ie Śniadowo, Henryka Kozła. Jest już przed godziną 15.00. W pokoju, w którym urzęduje wraz ze swymi współpracownikami, cicho i spokojnie. Wiceprezes wyraźnie szykuje się do wyjazdu w stronę domu w Łomży. Zatrzymany przez nieproszonych gości, powiada: — Tak, miałem wczoraj meldunek z miejscowego komisariatu, że w Jakaci Starej coś nie tak. Dzisiaj oddelegowałem tam pracownika.

Zupełnie jak w wyreżyserowanej sztuce — w drzwiach staje tenże pracownik, inwentaryzator Witold Piórkowski, i uprzedza atak milicjantów: — Ja w Jakaci nie byłem, bo mnie księgowa nie puściła. Powiedziała, że mam jechać jutro, to za jednym zamachem załatwię dwie miejscowości.

Kilka chwil trwa wyjaśnienie kwestii, kto wydaje decyzje, kogo one obowiązują itp. Wreszcie czas na następny akt... Wiceprezes wygłasza w nim swój monolog, przerywany tylko wtrętami przybyłych: — Na tym stanowisku jestem od trzech lat, a w GS Śniadowo pracuję od 13. Podlega mi 26 sklepów. Czy miałem w nich kontrole z WZSR-u? Gdyby ktoś od nich przyjeżdżał, to musiałby zameldować się najpierw u mnie, a nic takiego nie pamiętam.

Radzimy sobie sami. Na dwa tygodnie przed upływem gwarancji dokonujemy przeceny danej partii artykułów żywnościowych. Jeśli nie zostaną w tym czasie sprzedane, spisujemy na straty. W ubiegłym roku nie było strat. No, może raptem 10 tysięcy, a co to jest na prawie 200 milionów obrotu?! U nas dobrze się pilnuje tych spraw. Takie straty, jak w Jakaci, są bardzo sporadyczne. Powiem otwarcie: gdyby nie to, że sklepowa jest co rusz w ciąży, to bym ją dawno zwolnił. Jak mogła do tego dopuścić! Kilkakrotnie zwracało się jej uwagę. Gdyby nawet miała nadmiar tej słoniny, to mogła ją posolić i włożyć do jakiegoś garnka: każda gospodyni by to zrobiła. Nie dopełniła obowiązków!

— Ale pomijając tę nieszczęsną słoninę — wtrąca kpt. Romuald Skrocki — dlaczego nie daliście do laboratoryjnego zbadania i atestowania innych towarów, żeby choć część uratować dla klientów?

— Nasze laboratorium przy WZSR-ze nie ma uprawnień do przedłużenia terminu ważności artykułów żywnościowych. Najbliższą jednostką do tego uprawnioną jest białostocki PIH. Proszę obliczyć, jakie byłyby same koszty transportu, gdybyśmy chcieli z każdą, najmniejszą, partią towarów tam jechać. To się nam nie opłaca.

Obecny przy rozmowie przedstawiciel WZSR-u nie prostuje żadnej z tych informacji. Do słownej utarczki staje natomiast inny funkcjonariusz MO, porucznik Sergiusz Czapko: — Tam się żywność niszczy, a prezes tu spokojnie urzęduje, jakby nigdy nic.

— Nie tragizujmy.

— Panie, tam chyba było z pół tony mąki, którą wydziela się ludziom po kilogramie, i to na kartki!

— Jestem ławnikiem sądowym — uspokaja zacietrzewionego milicjanta wiceprezes — i wiem, że za to mnie nikt nie powiesi. Spółdzielnia też na tym nie traci, bo sklepowa za wszystkie straty zapłaci.

— Nie pieniądze są tu ważne. Prezes pójdzie, posłucha, co w kolejce ludzie gadają i na wsi.

— Słucham rądia, telewizji, to sam wiem.

— Od dwu lat stoją zepsute puszki...

— Może je zamówiła bez naszego pośrednictwa? A śledzie, które jej daliśmy, po jakimś czasie sami zabraliśmy, bo śmierdzące już z WZSR-u przyjechały.

— Ja rozumiem: pietruszka zgniła, ale mąka? Za co pan pieniądze bierze?

— Koszty analizy i koszty dowozu przekraczają zwykle wartość towarów, to po co mamy je wozić? Żeby nie ta ciąża, to bym raz dwa ją zwolnił — powtarza Henryk Kozioł.

— Ale to nie sztuka zwolnić — nie daje za wygraną porucznik. — A w czym jej pan pomógł? Nie można tam było odszczurzyć, odmalować i zainstalować wcześniej jakiegoś porządnego pieca?

— Może ja mam w ogóle jeszcze za nią sprzedawać? A panowie wiecie, że po lodówkę trzeba było jechać do samego wojewody?! To jej wina, wszystko jej wina! Nie, nie pamiętam, czy dawałem jej jakieś upomnienia na piśmie. Ale jak ona np. pisze do Zarządu, że trzeba jej szczury wygonić, to odpisuję, żeby łapki na nie rozłożyła. Byłem tam jakie dwa miesiące temu, to widziałem parę przecenionych puszek. Słoniny nie, bo nie zachodziłem na zaplecze.

— Więc niech pan zajdzie — radzi sarkastycznie funkcjonariusz i dodaje: — Słyszy się, że w Gdańsku ludzie stoją w kolejkach, żeby cokolwiek dostać do jedzenia, a tu... Jak Boga kocham, wątroba się od tego wszystkiego przewraca.

Do stolicy województwa wracamy razem, zabierając także wiceprezesa i ławnika w jednej osobie, któremu autobus do Łomży zdążył odjechać. Gdy wysiadamy, zwraca się do mnie: — Jak pani będzie pisać, to tak jakoś łagodniej. Ja wiem, że można napisać i tak, i troszeczkę inaczej. Mam w rodzinie dziennikarza.

Nie dowierzając zapewnieniom wiceprezesa co do badania i atestowania produktów — postanawiam wyjaśnić wątpliwości u Aleksandra Syczewskiego, kierownika Działu Higieny Żywności, Żywienia i Przedmiotów Użytku Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Łomży. Dział ten ma swoje sekcje w pięciu terenowych stacjach: w Łomży, Kolnie, Zambrowie, Grajewie i Wysokiem Mazowieckiem. Niestety, tylko dwie z nich — w Zambrowie i Grajewie — posiadają własne pracownie badania żywności, tj. placówki, w których można od ręki wykonać potrzebne analizy chemiczne. Szybkie ich wykonanie jest o tyle istotne, że częstokroć już po trzech godzinach od pobrania próbek żadna analiza nie jest w stanie wykazać zawartości niektórych, szkodliwych dla zdrowia, substancji. Czy aż tak wiele trzeba, by utworzyć taką terenową pracownię? Wymaga zaledwie trzech pomieszczeń (na badania mikrobiologiczne, chemiczne i na zmywalnię), sześciu pracowników. Niezbędny jest także komplet urządzeń, aparatura specjalistyczna, odczynniki. Wydawałoby się, że niewiele, a jednak bezskuteczne starania u miejscowych władz o przydział lokali trwają od lat; na aparaturę czeka się zwykle 2—3 lata, gdyż spora jej część sprowadzana jest z zagranicy: sprowadza się również tak mało skomplikowane, jak kolorymetr czy zestaw do chromatografii cienkowarstwowej (oznaczania barwników w żywności i pozostałości pestycydów), a nawet lampy kwarcowe. Nie najlepiej wygląda także sprawa zaopatrzenia w podstawowe odczynniki. Co jakiś czas brakuje np. amoniaku, który służy do ustalania ilości metali ciężkich w żywności, azotanów, a nawet spirytusu, który okazuje się niezastąpiony, np. przy dezynfekowaniu szkła, określaniu skuteczności mycia cystern do przewozu mleka, butelek itp. Przy takim właśnie potencjale Sanepid walczy o to, żeby handlowcy i producenci nie podtruwali nas powoli a skutecznie.

Jak więc wygląda badanie artykułów spożywczych, dla których kończy się okres gwarancji.

— Przed upływem terminu gwarancji — wyjaśnia Aleksander Syczewski — każda jednostka handlowa powinna zgłosić towar do zbadania. Jest do tego zobowiązana specjalną uchwałą Rady Ministrów. Jeżeli nie zastosuje się do niej, odpowiedzialność materialna spada automatycznie na kierownictwo danej jednostki. Głośna była np. sprawa piekarni w Rutkach, gdzie zmarnowano, przez złe magazynowanie, 18 ton mąki. Sprawę tę przekazaliśmy do prokuratury. Same atesty wydawać może laboratorium branżowe, istniejące np. przy WSS-ie i WZSR-ze, lub nasze jednostki terenowe, posiadające laboratorium; czyli niekoniecznie PIH. Żeby zobrazować efekty tych badań, podam, że w roku ubiegłym, na 3700 prób, ujemny wynik uzyskało prawie 20 proc. produktów. Jakie są ceny za nasze usługi? Jeżeli badania wykażą zgodność danego produktu z normami, zleceniodawca nie płaci ani grosza. W przeciwnym razie płaci wielokrotnie więcej od wartości produktu, np. zbadanie słoniny kosztuje około 335 złotych, chleba — 170, lodów — 853, garmażerki — 1400 złotych. Ceny za analizy wcale nie maleją; obecnie są trzy razy wyższe niż na początku ubiegłego roku. W przypadku stwierdzenia złej jakości przed upływem okresu gwarancji, kosztami obciąża się producenta.

— A jak wygląda możliwość zbadania zakupionego artykułu, dostar-

marn

na s

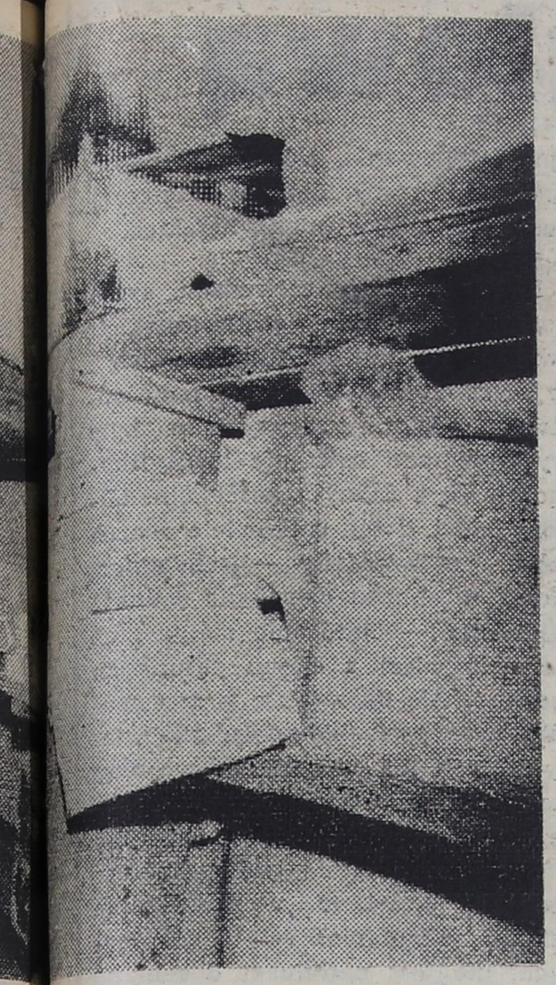

nlada

slesie

czonego przez indywidualnego konsumenta?

— Nie płaci za usługę. Wymagamy tylko złożenia oświadczenia, gdzie i kiedy zakupił dany produkt.

Nie jest zatem prawdą, że każdą podejrzaną partię artykułów trzeba wozić z łomżyńskiego aż do Białegostoku. Spróbujmy więc wyjaśnić jeszcze jedno: jaka jest skala marnowania żywności przez samych handlowców.

Nawet w oparciu o, pozornie bardzo szczegółowe, dane z Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej jest to dość trudne do ustalenia. Po pierwsze: wiele już wymyślono sposobów i sposobików ukrycia w statystyce tego typu strat. Powszechnie stosowaną praktyką jest np. moczenie woniejących i zieleniejących w sklepach kurczaków, a następnie wędzenie ich i sprzedawanie jako pełnowartościowego produktu. Ileż to razy same ekspedientki wstrzymują nasze zakusy na ślicznie wyglądające z daleka karkówki, schaboszczaki, cicho wypowiedzianym: „Tego lepiej nie brać" Po drugie: kontrolerzy ujawniają przecież tylko margines strat — opierają się bowiem głównie o kontrole wyrywkowe. Czy systematyczne załatwiłyby sprawę? Niestety, nie, bowiem występuje tu swoisty paradoks: im bardziej rozbudowany, wyspecjalizowany w swej strukturze system kontroli, tym mniej z niego pożytku, ponieważ błąd tkwi nie w ilości komórek kontrolnych, lecz w podejściu do zjawiska. Kontrolerzy-specjaliści szukają co sił odpowiedzi na pytanie: kto ile ukradł, zmarnował itp., a nie zagłębiają się w problem istotniejszy: jakie przepisy, warunki, struktury organizacyjne to umożliwiły.

Przyjrzyjmy się jednak, z braku innych, danym wojewódzkiego Sanepidu. W roku 1980 dokonał on około 8 tysięcy kontroli i pobrał w sumie ponad 3,5 tysiąca próbek. Ponad 15 proc. produktów zakwestionował. Najgorzej wyglądała sytuacja w Punktach Sprzedaży Pomocniczej i kioskach, gdzie normom spożywczym nie odpowiadało prawie 36 proc. badanych wiktuałów, oraz w wytwórniach wód gazowanych i rozlewniach piwa. Nie najlepiej było także w zakładach żywienia otwartego (ponad 28 proc. wyrobów oferowanych konsumentom) oraz w mleczarniach (w których prawie 22 proc. sprawdzonych produktów nadawało się do wyrzucenia).

Jakie konsekwencje zostały wyciągnięte w stosunku do winnych? Sanepid „rozdał" w roku ubiegłym 1273 mandaty o łącznej wartości ponad 330 tysięcy złotych. Jest to ponad dwukrotnie więcej, niż wynosiła wartość wycofanych towarów. Dodajmy też, że wielkość i ilość kar wcale nie ma tendencji malejącej, przeciwnie: rośnie z roku na rok. W tym także można dopatrzeć się tezy konieczności poddania kontroli samego systemu kontroli — i to pod kątem jego skuteczności, a nie liczebności.

Laboratoria branżowe nie są ani trochę zainteresowane wykazywaniem ujemnych wyników badań czy ściąganiem za nie opłat, nie mówiąc o szafowaniu mandatami. Przecież tak laboratoria, na które spada główna odpowiedzialność za ograniczenie do minimum szkodliwości naszego menu, jak i sklepy GS-u, należą do tego samego organizmu gospodarczego — Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Rolniczych. Ma zatem wiceprezes GS-u, Henryk Kozioł, świętą rację, jeśli nie widzi żadnego interesu w badaniu artykułów o co najmniej wątpliwej przydatności do spożycia, dopatruje się go raczej w spisywaniu ich na straty lub w przekazywaniu do przemysłowego wykorzystania. Relacje między opłatami za analizy a wartością badanych towarów, jak i sama strukturą sieci laboratoryjnej, są także postawione na głowie. I bez rozpatrzenia tych zagadnień z punktu widzenia społecznych interesów, a nie pojedynczych firm, nadal pewnie pozostaną w tej pozycji.

Bo jak w sposób racjonalny zinterpretować np. fakt, że oto wojewódzki Sanepid, badając samych opiniodawców, tj. laboratoria branżowe, musi autorytatywnie i jednoznacznie stwierdzić: *„Laboratoria WSS-u i WZSR-u otrzymały niedostateczną ocenę za niekontrolowany przebieg produkcji, niekontrolowanie stosowania substancji dodatkowych, stężenia środków myjących i dezynfekujących oraz ich skuteczności, niewykonywanie pełnych badań. Ponadto laboratorium WZSR-u wydawało atesty o jakości zdrowotnej na podstawie niepełnych badań".* Akceptuje się także, że: *„W roku 1980 skontrolowano 10 laboratoriów zakładowych, w tym 3 przy zakładach mleczarskich, 3 przy Zakładzie Przetwórstwa Spożywczego w Łomży, 2 laboratoria WSS i 2 WZSR-u. Wszystkie oceniono jako niedostateczne"* (podkreślenie N.O.). I co, ukarano je przynajmniej przykładnie?

— W żadnym przypadku! — wyjaśnia Aleksander Syczewski. — Nie ma na to przepisu wykonawczego. W takich sytuacjach możemy tylko sugerować, prosić, przekonywać. Ukarać może wyłącznie jednostka macierzysta.

Sanepid może więc, jako główny koordynator, kontroler itp., wystawiać tylko cenzurki, no i jeszcze jedno — formułować wnioski. Np. takie: *„W dalszym ciągu istnieje duża grupa obiektów złych pod względem techniczno-porządkowym* [...]. *Jakość zdrowotna artykułów spożywczych nadal budzi poważne zastrzeżenia* [...]. *Stosowane środki chemiczne w zwalczaniu karaczanów i gryzoni są mało skuteczne w związku z czym zagadnienie powyższe należy rozwiązać centralnie* [...]. *Transport środków spożywczych odbywający się w złych warunkach sanitarnych wymaga centralnego rozwiązania".*

Z całą pewnością tego typu wnioskami rewolucji się nie wznieci. Bo też i Sanepid, powtarzając od lat, dawno przestał traktować je poważnie. Możemy zatem być spokojni, że nadal fury żywności, wyprodukowanej przy ogromnych nakładach środków, pracy i czasu, trafiać będą wszędzie, tylko nie na nasze stoły. A jeśli już nawet jej część się na nich znajdzie, to z określoną przyprawą w postaci szkodliwych dla zdrowia składników.

Żeby rozwiać ewentualne wątpliwości, udajmy się jeszcze raz do Gminnej Spółdzielni w Śniadowie. Jakie wnioski wyciągnięto z całej tej sprawy w Jakaci Starej. Prezes Tadeusz Kulesza i Henryk Kozioł zgodnie stwierdzają: — Ona, ekspedientka, i tylko ona za to odpowiada. Sama przecież, bez pośrednictwa, może zamawiać towar, ponosi zatem i pełną zań odpowiedzialność. Dlaczego nie kontrolowaliśmy jej działalności widząc, że nie jest orłem w swym zawodzie? Ona zdaje raporty tylko okresowo, trudno więc z nich wyłapać, że dzieje się coś złego. Na ostatnim posiedzeniu Zarządu podjęliśmy decyzję o jej zwolnieniu, gdyż prócz dopuszczenia do zepsucia towarów, ma jeszcze na swym koncie odkryte przy tej okazji, ponad 100 tysięcy manka.

Ani słowa o zaniedbaniach własnych, o braku nadzoru, pieczy itp.

— Co do ustalenia nowego terminu ważności towarów — wyjaśnia dobrodusznie wiceprezes — to ja się pomyliłem. Nie trzeba ich wieźć do Białegostoku, ale też nasze laboratorium przy WZSR-ze nie ma prawa atestowania artykułów spożywczych. Dotychczas nie korzystaliśmy z tej możliwości; to był pierwszy przypadek. Zawsze bardzo pilnowaliśmy, żeby się nic nie zmarnowało.

Nadal więc, mimo trzech lat prezesowania, Henryk Kozioł nie wie nawet, kto jest władny w przedłużeniu terminu ważności produktów, i mało prawdopodobne, że zacznie się naraz tym interesować, mniej uwagi zwracając na statystyczne wskaźniki, obrazujące pracę kierowanego przez siebie pionu, a bardziej — na jej społeczny pożytek.

Z pełnym przekonaniem i miną człowieka-kryształu mówi na zakończenie: — O co tyle szumu? Przecież gdzie indziej takie nadużycia i marnotrawstwo odchodzą, że w głowie się nie mieści; miliony, wiele milionów! A u nas? Mąkę, która przecież nie zepsuła się do końca, przekażemy do przyzakładowej tuczarni, słoninę na mydło do zakładu w Szczuczynie, czyli zagospodarujemy większość wiktuałów. Straty z tytułu zniszczenia tej żywności nie wyniosą dla spółdzielni więcej niż 5—6 tysięcy złotych, a i te pokryje sklepowa. W czym problem?!

Z całą pewnością dla szefów GS-u go nie ma. Trudno też powiedzieć, czy dostrzega go chociaż WZSR. Jego ociężała machina, naładowana po brzegi kontrolerami-specjalistami, do dziś — w prawie dwa miesiące od odkrycia swoistej spiżarni w Jakaci Starej — nie potrafi jeszcze zdecydować się: kogo, prócz sklepowej, zaprosić do „konsumpcji" pochodzących z niej wiktuałów?

NINA OMELCZENKO
Fot. GABOR LÖRINCZY

spięcia

Niedawno wyszło na jaw takie oto „przeoczenie": rolnik z Rutek od dziesięciu lat starał się o wiązałkę, a przyznano mu przed dwoma laty młocarnię; tzn. niezupełnie, ponieważ otrzymał ją ktoś, kto za niego spreparował podanie. Ale ponoć naczelnik Rutek robi jeszcze lepsze numery (np. przyznaje przyczepy bezrolnym), stanowczo przerastające potrzeby gminy, przeto — doszli do wniosku rolnicy — trzeba go szybko awansować, aby się taki talent przypadkiem nie zmarnował.

★

Taka się w ludziach pazerność na węgorza wytworzyła, że w napadach oskomy gotowi góry przenosić. A że w gminie Nur nawet pagórków niewiele, przeto naczelnik, za zgodą ciechanowieckiego GS-u, przeniósł do Obrytego sklep zaplanowany w Ołowskich, chociaż wieś za darmo dawała działkę i deklarowała bezpłatną pomoc przy wznoszeniu pawilonu. GS i naczelnik wyjmą dla Obrytych z kieszeni węże (broniące funduszy państwowych), aby znalazły tam miejsce dorodne, prywatne *auquille*.

★

Czemuś ludzi w gminie Boguty nie uspokajają długie nocne spacery do jedynego sklepu mięsnego. Nad ranem temperatura kolejki dochodzi do wrzenia. Aby sprowadzany do sklepu towar nie stracił nabywców — ich bezpieczeństwem zajęło się MO. I nie ma w tym nic do śmiechu.

★

Między Przytułami a Radziłowem leży potężny głaz marmurowy, którego istnienie starannie ukrywają naczelnicy obu gmin. Nie uświadczysz przy nim żadnego oznakowania. Czyżby któryś z naczelników urodził się na tym właśnie kamieniu?

★

Radziłów, oprócz starych problemów, ma też piękne, stare drzewko przed kościołem. Wierzymy tamtejszym władzom, że go nie zetną, ale wolelibyśmy zobaczyć dowód tej szlachetności — tabliczkę z napisem: „Pomnik przyrody". Ufamy też, że wybijając okno na świat, Radziłów nie zlikwiduje zabytkowych ozdób w oknach rynkowej zabudowy.

★

Niszczeje grodzisko w Starej Łomży. I jak tu się dziwić, że niektórzy słowo „konserwator" wywodzą od „konserwy"?

★

W pobliżu Wyszowatego (na drodze Grabowo—Kolno) znajduje się zapomniana mogiła zbiorowa z czasów I wojny światowej. Podobno w pobliżu straszy. Niechby postraszyło przewodniczącego Wojewódzkiego Komitetu Ochrony Miejsc Pamięci Narodowej.

★

Szosą Czerwony Bór—Łomża przebiegała w nocy z 15 na 16 maja trasa specjalnego rajdu „maluchów" pod hasłem „Albo się dotrze, albo się przetrze", ponieważ były to samochody nowe, dostarczone na rampę w Borze z powodu braku takowej w Łomży. Efekt rajdu niedotartych pojazdów był rewelacyjny: zaledwie dwa spośród trzystu nie osiągnęły szybkości 120 kilometrów na godzinę (może dlatego przystawały w lesie?). Kierownik łomżyńskiego „Polmozbytu" zapewnił obserwatora zmagań ambitnych kierowców: — Wiemy, co robimy. — Oby jeszcze nabywcy „maluchów" wiedzieli, co kupią!

★

„Im dalej w województwo łomżyńskie, tym gorsze drogi" — stwierdzili radni na sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej. Czy tylko drogi!

★

Dobrze, że się wreszcie wyklarowała kwestia ziemniaków w województwie. Już wiemy: przeżyliśmy, owszem, jesienią klęskę, ale urodzaju. Ciekawe, czy przez tę jasność w sprawie ubędzie worków z sadzeniakami rolnikom i GS-om?

ROZTERKI

ze schyloną głową

Zasmucające to świadectwo stanu moralnego współczesnego świata, że dopiero jakaś wielka tragedia przywraca nam poczucie jedności ludzkiej. To prawda, że Jan Paweł II był często krytykowany, nawet przez przedstawicieli wspólnoty katolickiej. Niektóre z jego wypowiedzi stawały się powodem ostrych kontrowersji; w USA i RFN — na przykład — dotyczyły one roli kobiet w Kościele; w Trzecim Świecie natomiast przedmiotem polemiki było stanowisko Stolicy Apostolskiej w sprawie przerywania ciąży. Zamach na placu Świętego Piotra stanowił wstrząs, który wyciszył wszystkie głosy, z wyjątkiem rozpaczy. W niej połączyli się wierzący i niewierzący, katolicy, chrześcijanie i ludzie wiar innych.

Fenomen „polskiego papieża" zaprzątał uwagę wielu już komentatorów. Przeważa pogląd, że wyjątkową popularność Jan Paweł II zawdzięcza cechom swojej osobowości moralnej: zatroskaniu sprawami ludzkimi, nawet najbardziej pospolitymi, bez czego miłość i poświęcenie będą zawsze tylko wyniosłymi darami, mogącymi wzbudzać sprzeciw tych, którym są ofiarowywane; skromności, bez której nie jest możliwa autentyczna pamięć o sprawach jakichkolwiek ludzi uciskanych i poniżonych; życzliwości, która — przez sam już sposób jej przejawiania — daje gwarancję, że w zamian niczego nie żąda; niezwyczajnemu poczuciu humoru, wnoszącemu do wystąpień o zagadnieniach najważniejszych tony przywracające im wymiar prawdziwie ludzki, a zarazem uwypuklającemu prostotę tego, kto nie chce ani przez chwilę zapomnieć, że jest jedynie człowiekiem, mimo dostojeństwa sprawowanego urzędu; bezpośredności wreszcie: jak wielu przywódców społecznych i politycznych miałoby odwagę upomnieć się wobec rozentuzjazmowanego tłumu o swoje prawa stwierdzeniem, że są głodni i pragną pójść do domu, aby zjeść obiad?

Rzadko zdarza się, by podziw dla osobowości człowieka kazał w obcowaniu z nim całkowicie zapomnieć o różnicach przekonań. A jednak coś takiego właśnie obserwowałem w czasie wizyty papieża w naszym kraju. „Fantastyczny facet" — zawierzył mi swoje odczucia pewien dygnitarz, o którym dobrze wiedziałem, że był przeciwny przyjazdowi Jana Pawła II do Polski. I rzecz może najbardziej godna w tym kontekście podkreślenia: „Papież z Polski" nie jest jedynym człowiekiem o ogromnym autorytecie międzynarodowym, który zabiera głos w sprawach dotyczących wszystkich, bez wyjątku, ludzi, takich jak pokój, sprawiedliwość społeczna, prawa człowieka. Jest wszakże jednym z nielicznych, których słucha się z nie słabnącą nigdy uwagą, bez względu na wyznawaną ideologię czy przekonania polityczne — dlatego, że słowom jego się wierzy.

Gdybym miał podsumować wrażenia wyniesione z lektury licznych komentarzy prasowych, poświęconych osobie i czynom papieża, sprowadziłbym je do stwierdzenia, że popularność Jana Pawła II wynika głównie z faktu, iż dostarcza on swoją podstawą wzorca moralnego. Jego niepowtarzalna osobowość zawiera bowiem rysy, które mają wartość uniwersalną. Dzięki nim osoba papieża zapełnia istotną lukę w społeczeństwach XX w., stykających się stale z autorytetami politycznymi, niezmiernie tylko rzadko poznających autentyczny autorytet moralny. Toteż słuchany jest pilnie przez wszystkich, nawet tych, którzy widzą w nim wyłącznie — a może nade wszystko — człowieka.

Piszę to w trzeci dzień po zamachu, kiedy niewiele jeszcze wiadomo o jego sprawcy. Czy działał sam, czy też z ramienia jakiejś terrorystycznej międzynarodówki? Jak w wielu podobnych przypadkach, tak i w tym, być może nigdy wszystkiego się nie dowiemy. Organizacje terrorystyczne na ogół dobrze strzegą swoich tajemnic. Ich powiązania, rzeczywiste motywy, mechanizmy podejmowanych akcji, wyjątkowo tylko bywają rozszyfrowywane przez zwalczające je policje. Nieznajomości faktów nie zastąpi dociekliwość publicystów. Z niechęcią przeto myślę o tej lawinie spekulacji, którą zamach na Jana Pawła II nieuchronnie spowoduje. Jedno przecież już teraz nie ulega wątpliwości: jakiekolwiek inne jeszcze motywy mogły wchodzić w rachubę przy podjęciu takiej decyzji, zamach terrorysty tym razem godził w człowieka, który dając przykład miłości, stawiał siebie tym samym w absolutnej opozycji do wszelkich idei, mogących zapładniać terroryzm.

Jeżeli dobrze rozumiem przyczyny popularności Jana Pawła II i szczególny charakter roli, jaką od paru lat w świecie pełni, spóbuję wytłumaczyć, dlaczego trwoga była zgodną reakcją ludzi z różnych części świata na wieść o dokonanym zamachu. Nie żywię przecież złudzeń, że ów moment współdoznawania, w którym tak wiele serc naraz uderzać zaczęło jednakowym rytmem, był jedynie krótkotrwały. Oby przynajmniej trwał w naszej pamięci. Ten akt terrorystyczny — jak żaden inny — zdaje się podważać wiarę w racjonalność człowieka. Tymczasem przede wszystkim od wniosków, jakie każdy z nas ze swoich doznań wyniesie dla swojego postępowania, zależy odbudowa nadziei, iż gwałt nie jest konieczną cechą stosunków międzyludzkich.

Podczas gdy w cerkwiach, synagogach, zborach protestanckich, świątyniach kultów afrykańskich i azjatyckich odbywały się nabożeństwa, redakcje zasypywane były wystąpieniami osób nie identyfikujących się z żadnym kościołem. Miliony ludzi, dotąd całkowicie obcych sobie, potwierdziły — schyleniem głowy w obliczu cierpienia jednego człowieka — obudzenie się w nich poczucia więzi z całym gatunkiem ludzkim. Ale dało także w ten sposób wyraz potrzebie posiadania wiarygodnych dla wszystkich wzorców moralnych. Krytycy kultury europejskiej spoza jej kręgu, z Azji lub Afryki, wielokrotnie podkreślali, że cechuje ją wiara w skuteczność działań ekonomicznych i politycznych, nie jest natomiast doceniane w niej znaczenie przykładu moralnego. Byłbym skłonny uznać słuszność tej krytyki. Co prawda przekonany jestem, że to warunki społeczne i polityczne określają postawy ludzi, bez ich zmiany sama moralność okaże się bezsilna, tym niemniej niepokoi mnie fakt utrzymującego się rozziewu polityki i moralności, zasada eliminowania z metod działania — oddziaływania za pośrednictwem przykładów postaw moralnych. Gdyby ktokolwiek wątpił w istnienie potrzeby takich metod w polityce, niech zwróci uwagę na to, jak reaguje świat na osobę Jana Pawła II.

STANISŁAW ZAPAŚNIK

NA PIĘCIOLINII

zrób to sam

Poprzednia ekipa rządząca namiętnie zwalczała sektor prywatny, jako jawisko nie licujące z ustrojem socjalistycznym. Wyrzucano miliony wybrakowanych butów na śmietnik, żeby tylko nie dać ich rzemieślnikom; wykańczano ajentów chętnych do żywienia nas w miejscowościach wypoczynkowych itd. Ale ta sama ekipa chętnie korzystała z innych usług innego sektora prywatnego, i to w takich gigantach, jak np. środki masowego przekazu.

Otóż, nie jestem pewien, czy przeciętny słuchacz programów muzycznych Polskiego Radia orientuje się, iż wszystkie zachodnie utwory — łącznie z tymi najnowszymi, wydanymi przed kilkoma dniami — pochodzą z prywatnych kolekcji dziennikarzy i ich przyjaciół. Radiokomitet nie ma bowiem dewiz (na co innego miał), żeby sprowadzać nowości z firm zagranicznych. Mało tego; autorzy programów w rozgłośniach regionalnych, aby przedstawić nagrania z polskich (sic!) long play'ów, muszą je kupować za własne pieniądze lub wypożyczać w sklepach. Żadna bowiem z naszych firm płytowych nie jest w stanie wysłać kilkunastu egzemplarzy z kilkudziesięciotysięcznego nakładu do bratniej firmy, która je reklamuje. Notabene: jeden z dyrektorów „Polskich Nagrań" powiedział, iż nie interesuje go reklama, ponieważ — przy braku krążków na rynku — pójdzie dosłownie wszystko.

Dobrze, że płyta nie da się skasować domowym sposobem, a następnie raz jeszcze nagrać, bowiem mielibyśmy absolutną pustkę na rynku, tak jak się dzieje obecnie z nagranymi firmowo kasetami. Z drugiej strony — taka sytuacja bardzo sprzyja czwartorzędnym wykonawcom, zaprzyjaźnionym z dyrektorami decydującymi o tym, kto na owych kasetach zostanie utrwalony. Otóż, kasetę nagrywa — przykładowo — Edward Hulewicz, i w normalnych czasach nikt, naturalnie, tego barachała nie kupuje, bo po co. Hulewicz nie zarabia pieniędzy, kompozytorzy i autorzy tekstów też; do rolnictwa przenosi się realizatorów nagrań (teraz wszystkich przenosi się do rolnictwa, a nawet wielokrotnie słyszałem — skompromitowane niegdyś, dzięki pewnym audycjom radiowym z daleka — powiedzenie: „Szczęść Boże, chłopie polski"), marnieją, sprowadzone za ciężkie dolary, maszyny kopiujące itp. To w normalnych czasach. Dzisiaj natomiast zatrudnienie mają wszyscy wymienieni i nikomu — o dziwo — nie przynosi to szkody, zwłaszcza muzyce. Jest nawet — powiedziałbym — odwrotnie; bo oto idę do sklepu i biorę, co jest, czyli kasetę z piosenkami mojego ulubieńca (i Waszego chyba też) Hulewicza. Aby nie psuć sobie dobrego nastroju, w ogóle nie słucham, co tam nagrano, i od razu nagrywam na tym z III Programu PR piosenki Emmelou Harrisa. Płacę wprawdzie za to nieco więcej niż za czystą kasetę, ale w dzisiejszych czasach jaka to różnica — stówa w tę, stówa w tamtą...

Te wszystkie bolączki doskonale zrozumiał nasz przemysł rozrywkowy i dostosował się — jak kameleon — do sytuacji. Nie potrafi on wprawdzie jeszcze przypasować się do gustów większości słuchaczy i prowadzi „uniwersalną" politykę opartą na starych, dobrze zasłużonych — nawet dla sanacji — nazwiskach piosenkarzy, ale pierwsze jaskółki nie zawitały. Otóż niegdyś, po nagraniu firmowej kasety, wyłamywano w niej dwa ząbki, co uniemożliwiało — przypadkowe chociażby — skasowanie utworów. Nie stanowiło to, oczywiście, żadnej przeszkody dla zaradnego Polaka, który dziurki zaklejał scotchem albo zatykał kulkami papieru. Obecnie zaś zrezygnowano z wyłamywania tych ząbków, zgodnie ze słusznym założeniem, iż kasety produkuje się wyłącznie po to, by na ich śladzie dźwiękowym nagrywać coś zupełnie innego. Wspomniałem już kiedyś, że ów okrutny los dotknął nawet kabaret „Tey" Zenona Laskowika, którego kaseta kosztowała wprawdzie 200 złotych, ale za to taśma w niej była nadzwyczaj długa.

Rysunek Antoniego Kowalskiego

JAN JANUSZEK

reflekcje

akt III

alarm dla Biebrzy

REPORTER: Jeszcze tydzień temu byłem pewien, że Biebrzy grozi śmierć. Dziś wiara moja jest nieco zachwiana. W minionym tygodniu rozmawiałem z wieloma ludźmi, którzy starali się udowodnić, że Biebrzy nic nie grozi, a jeżeli już, to niewielkie niebezpieczeństwo, które można szybko zażegnać. W ostatnich dwóch audycjach starałem się przedstawić sytuację wynikającą z budowy wielkiej mleczarni w Grajewie. Tamtejsze społeczeństwo jest zbulwersowane nie wyjaśnioną sprawą oczyszczania ścieków mleczarskich. Radni Miejsko-Gminnej Rady Narodowej są zdecydowanie przeciwni uruchomieniu zakładu. Grajewo leży w bezpośrednim sąsiedztwie rzeki Ełk, zanieczyszczanej przez miasto o tej samej nazwie oraz mleczarnię w Prostkach. Rzeczka Ełk, przez Kanał Rudzki, wpada do Biebrzy, nad którą leży Dolistowo. Tam również jest mleczarnia, niezwykle uciążliwa dla wód Biebrzy. Dlaczego ścieki mleczarskie są groźne dla tzw. wód powierzchniowych? Opowie o tym starszy inspektor wojewódzki ds. ochrony środowiska w Łomży.

TADEUSZ DEPTUŁA: W miejscu zarzutu ścieków mleczarskich, gdzie jeszcze jest tlen w wodzie, nie ma tragedii: po prostu wędkarze wiedzą, że tam najlepiej ryba bierze, bo ma pokarm i tlen. Natomiast tragedia zaczyna się w miejscu, gdzie tego tlenu brakuje, bo miarą zanieczyszczenia rzeki jest biochemiczne zapotrzebowanie na tlen. Ścieki mleczarskie mają to BZT5 wysokie, po 1500; miejskie mają 200—300. Mleko potrafi mieć kilkanaście tysięcy, do 20 000 — powiedzmy. To jest bardzo groźne. Następuje deficyt tlenu, a to już koniec świeżości wody, następują procesy gnilne i stopniowe obumieranie życia biologicznego. Rozwój bakterii gnilnych, wydzielanie kwasów i gazów trujących, metanu, siarkowodoru i innych powoduje zanieczyszczenie wtórne, bo drobnoustroje i bakterie wyrosłe na tej pożywce rozwijają się masowo i potem masowo giną, a w procesie ich rozkładu powstają bardzo toksyczne i trujące substancje.

REPORTER: Zatem ryby nie trują się, tylko duszą.

TADEUSZ DEPTUŁA: Duszą się z braku tlenu.

REPORTER: Mówi dyrektor Wydziału Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska Urzędu Wojewódzkiego w Łomży.

HENRYK MILEWSKI: My zrobiliśmy szczegółowy program ochrony rzeki Biebrzy, doprowadzenia jej do klasy czystości przynajmniej drugiej, czyli do takiej, w której ona by mogła dać wody dla zalewu Zegrzyńskiego i dla Warszawy. Inwestycje, które trzeba by było wykonać w trybie pilnym, aby to osiągnąć, kosztowałyby ponad dwa miliardy złotych. W obecnej sytuacji ekonomicznej kraju jest to — może nie ze względu na koszty, ale na możliwości przerobowe — rzecz niezmiernie trudna i w związku z tym wszystkie nasze działania muszą być rozpatrywane z tego punktu widzenia, co my możemy zrobić, co możemy osiągnąć, jak możemy zadziałać. Patrząc na sprawę Grajewa dochodzimy do wniosku, że zakład mleczarski nie powinien pogorszyć sytuacji, a wręcz znacznie ją polepszyć.

REPORTER: Oj, ryzykowna to opinia! Mówi dyrektor białostockiego oddziału Biura Studiów, Projektów i Realizacji Inwestycji Przemysłu Mleczarskiego.

TADEUSZ KRĘCISZ: To jest jeden z tych dużych zakładów, które po wojnie były projektowane od nowa, naszymi siłami, polską myślą techniczną.

REPORTER: Czy one się sprawdzają?

TADEUSZ KRĘCISZ: Tak, to są bardzo dobre proszkownie, one pozwalają nam bardzo dobrze przerabiać mleko, jak również wysoki poziom kultury technicznej reprezentują sobą.

REPORTER: I taki jest zakład w Grajewie?

TADEUSZ KRECISZ: No, powiedziałbym szczerze, że technika jest dużo wyższa, dlatego że doświadczenia lat pociągnęły rozwój techniki na zachodzie, a partnerem, który nam dostarczył maszyny była firma „Anhydro" z Danii, a oni bardzo daleko poszli z rozwojem techniki, i taką technikę zastosowano już w Grajewie na proszkowni mleka. Najpierw zakład ten miał być zlokalizowany w Sokółce, następnie rozważono jego lokalizację w Białymstoku. Niemniej jednak, ze względu na zgłoszenie przez ówczesny Urząd Powiatowy w Grajewie najlepszych warunków realizacji ten inwestycji, zdecydowaliśmy się, wspólnie z inwestorem i za zgodą Urzędu Wojewódzkiego, zlokalizować go w Grajewie. Co do tych warunków najlepszych Grajewa zaliczam: 1) grunty rolniczo nieprzydatne, 2) budowa oczyszczalni własnej, która pozwoliła na skojarzenie gospodarki ściekowej z zakładów i miasta, 3) dostawa wody. I wiele innych, korzystnych dla przemysłu mleczarskiego.

REPORTER: Jak widać, projektanci z nadmiernym optymizmem potraktowali tzw. gospodarkę ściekową. Mówi wicewojewoda łomżyński.

STANISŁAW CIUPA: Biuro to wykazało, że ścieki z projektowanego zakładu mleczarskiego mogą być przyjęte i skutecznie oczyszczone przez — będącą w budowie — miejską oczyszczalnię. W oparciu o analizę dokumentacji przedstawionej przez to biuro inwestor oczyszczalni komunalnej w Grajewie, Wojewódzkie Zjednoczenie Przedsiębiorstw Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Białymstoku, uzgodnił przyjęcie na tę oczyszczalnię w granicach, jak pamiętam, około 1400 m³ na dobę ścieków mleczarskich o ładunku BZT5 w granicach 500 mg/l bez wstępnego oczyszczania. I tu jest problem mocno dyskusyjny, bo nasza już, młoda, wojewódzka, po reformie, służba ochrony środowiska ujawniła niewłaściwości w obliczaniu zanieczyszczeń w ściekach projektowanego zakładu mleczarskiego w Grajewie.

TADEUSZ KRĘCISZ: Prawdą jest, że podany ładunek zanieczyszczeń był niewysoki. Koledzy oparli swoje wyliczenia na programie produkcji, przyjętym dla zakładu mleczarskiego w Grajewie, który rzeczywiście nie zakładał dużych zanieczyszczeń ścieków. Ale prawdą jest i to, że wybudowana oczyszczalnia w Grajewie ma zastosowaną taką technologię, która jest uciążliwa dla oczyszczania ścieków przemysłu mleczarskiego. A nawet, powiedzmy sobie szczerze, chyba niewłaściwa dla przemysłu mleczarskiego. Myśmy pierwotnie w przemyśle stosowali takie oczyszczalnie. Jako jedną z pierwszych projektowaliśmy w latach pięćdziesiątych w Prostkach; owa oczyszczalnia nie pracowała nigdy w sposób prawidłowy. Stąd przemysł mleczarski odszedł od tej technologii i projektuje oczyszczalnie w oparciu o osad czynny, czyli według innej technologii niż ta, która jest w Grajewie. Mnie się wydaje, że tu jest podstawowa rozbieżność między nami a użytkownikiem oczyszczalni ścieków.

REPORTER: Oczyszczalnię ścieków w Grajewie projektowało Biuro Projektów Budownictwa Komunalnego w Warszawie, dziś — Centrum Techniki Komunalnej. Tak więc prawie jednocześnie powstawała oczyszczalnia nie nadająca się do neutralizowania ścieków mleczarskich jednał na to zgodę Komisji Planowania przy Radzie Ministrów oraz wielki zakład przerabiający mleko.

STANISŁAW CIUPA: I dlatego, w celu w miarę autorytatywnego wyjaśnienia zaistniałych wątpliwości, co do efektów oczyszczania mieszaniny ścieków komunalnych z mleczarskimi w miejskiej oczyszczalni ścieków w Grajewie, Wojewódzka Dyrekcja Rozbudowy Miast i Osiedli, jako inwestor prowadzący tę inwestycję, zleciło sporządzenie odpowiedniej ekspertyzy doktorowi Heidrichowi z Politechniki Warszawskiej. Ekspertyza potwierdziła nasze obawy, szczególnie w odniesieniu do rzeczywistego ładunku zanieczyszczeń w ściekach mleczarskich.

REPORTER: Podobne były dwie inne ekspertyzy, opracowane na zlecenie przezornych władz łomżyńskich. W tej sytuacji wojewoda łomżyński zobowiązał mleczarstwo do budowy drugiej oczyszczalni. Wynadal odprowadzał ścieki o tych parametrach, wówczas mieszanina ścieków odpowiadałaby kryteriom klasy trzeciej. W praktyce wygląda to w ten sposób, że rzeka Ełk w roku 1978 była jeszcze w klasie trzeciej, w 1979 i 80 — poza klasyfikacją. W jaki sposób nasza działalność wpłynie na to, żeby tę rzekę poprawić. A więc zakład mleczarski w Grajewie przyjmie mleko, które obecnie jest przerabiane w mleczarni w Prostkach i w mleczarni w Dolistowie. W tej chwili z rejonu Grajewa wozi się do Prostek siedem milionów litrów mleka, i ono przeciążyło już do tego stopnia zakład i oczyszczalnię ścieków, jaka tam istnieje, że praktycznie oczyszczalnia w Prostkach wpuszcza surowe niemalże do rzeki Ełk. Jeżeli odciąży się oczyszczalnię w Proskach przez zabranie części mleka do Grajewa, wówczas otrzymamy rzekę Ełk znacznie czyściejszą. Podobnie jest z Dolistowem, które w ogóle nie ma oczyszczalni i w ubiegłym roku przerobiło ponad milion siedemset tysięcy litrów mleka, a surowe ścieki wpłynęły do Biebrzy, wywołując w niej określone skutki. Jeżeli to mleko trafi do zakładu w Grajewie i na oczyszczalnię w Grajewie, wówczas sytuacja ulegnie odczuwalnej poprawie. Rozpatrując sprawę kompleksowo, przy założeniu tych wszystkich reżymów, które musimy zastosować, sytuacja ulegnie nie pogorszeniu, a wręcz poprawie — z punktu widzenia jakiejś oceny globalnej. Jeżeli chodzi o mleczarstwo, mamy ekspertyzę Biura Projektów, która wprowadza takie ograniczenia, że nie powstaną ścieki z płukania cystern.

REPORTER: Wierzę w pańską dobrą wolę, wierzę w dobrą wolę całej administracji, ale też wiem, że przemysł mleczarski jest bardzo ekspansywny i że większość mleczarni, nie ze swej winy, pracuje powyżej swoich technicznych możliwości. Mówiąc tydzień temu o amatorszczyźnie, miałem na myśli kompleksową ochronę wód w makroregionie północno-wschodnim. Bo żadnej linii przewodniej w tych trzech województwach nie ma, choć starania były czynione. Otrzymujecie wody już zanieczyszczone przez zakłady w Suwalskiem i Białostockiem.

HENRYK MILEWSKI: Niewątpliwie tak. Tylko tu również Komisja Planowania przy Radzie Ministrów i Zespół Planowania Regionalnego w Białymstoku podejmują działania — a w działaniach tych my również bierzemy udział — zmierzające do zgrania tych spraw. Ale to są ogromne koszty, ogromne przedsięwzięcia inwestycyjne. My, jako działacze ochrony środowiska, w dyskusji, która obecnie toczy się przed zjazdem partii, zgłosiliśmy konkretne wnioski pod adresem naszego resortu, zmierzające do tego, żeby utworzyć wyspecjalizowane resortowe biuro studiów i projektów i branżowe wykonawstwo urządzeń do ochrony środowiska. Bo tylko takie postawienie sprawy i skoncentrowanie tego w jednym resorcie będzie w stanie zabezpieczyć to środowisko w stosunkowo niedługim okresie. Miliardy złotych, które potrzebne są na ochronę środowiska, wymagają czasu, a średni cykl budowy, np. obecnej, tradycyjnej oczyszczalni ścieków, przestarzałej i nie najnowszej, to rząd kilkunastu lat. Tak już w tej chwili pracować nie można, bo wiemy, że w świecie są urządzenia, są technologie znacznie szybsze. Chodzi o pieniądze, z którymi wiadomo, jak jest, ale przede wszystkim o szybkość i inwestowanie tam, gdzie najbardziej tego potrzeba, czyli — w naszym przypadku — nad rzeką Biebrzą.

REPORTER: Technologia oczyszczania ścieków w naszym kraju jest na etapie kamienia łupanego.

STANISŁAW CIUPA: Formuły, jakich pan redaktor używa w swoich reportażach, typu: bałagan inwestycyjny, typu: bezmyślność, głupota, typu: amatorszczyzna, mogą rzeczywiście ludzi ustawić do nas bardzo nieprzychylnie. Wiemy, że się w tej chwili mówi dosyć twardym językiem, my ten język rozumiemy i przyjmujemy. Tym niemniej bardzo byśmy prosili, żeby rzeczywiście z jednakowym zabarwieniem przekazywać i komentarz, i punkt widzenia, powiedziałbym, wielu stron: władz, profesjonistów i opinii publicznej.

TOMASZ PIOTROWSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY

obywatele reagują

dokumenty

matecznik

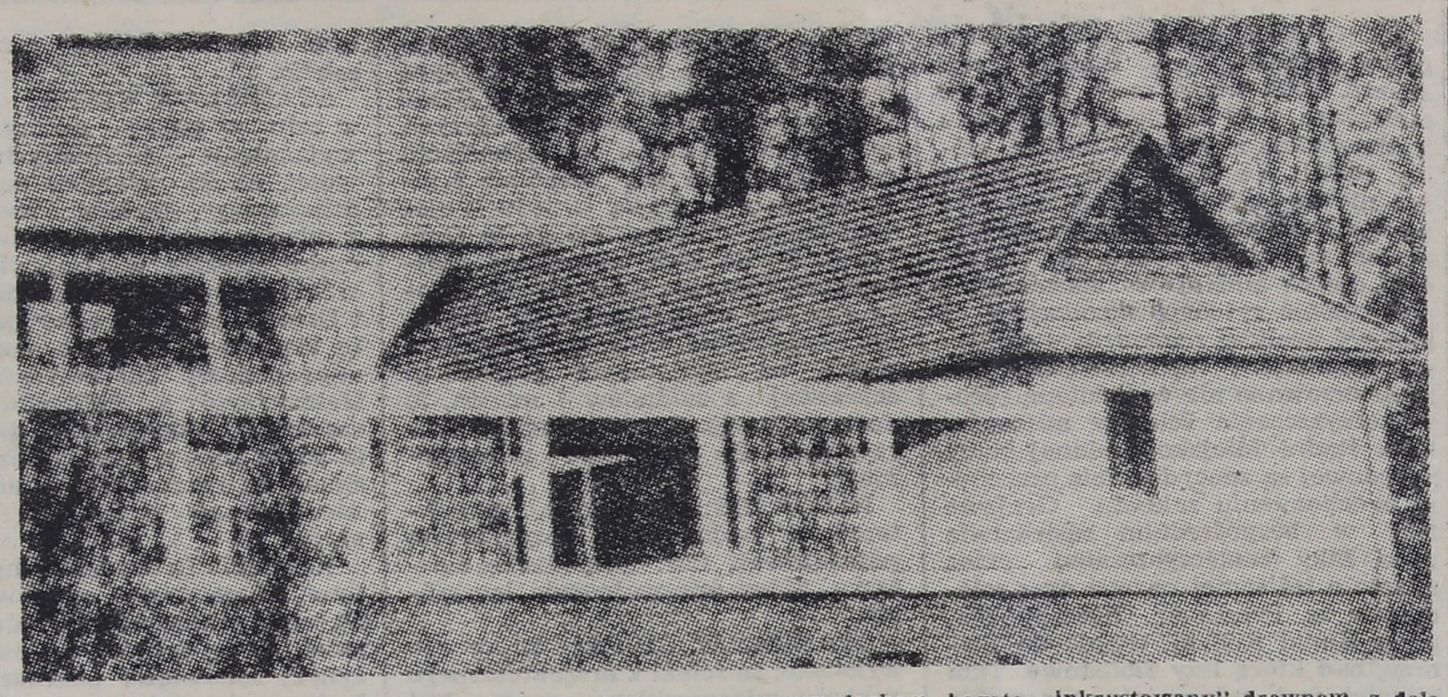

Elegancki, w głównej części jednopiętrowy, biały z czerwonym dachem, bogato „inkrustowany" drewnem, z dala przypominał szlachecki dworek.

„Matecznik", jak określili 'koledzy z „Kuriera Polskiego" wypoczynkową rezydencję Edwarda Gierka w lasach spalskich, był niedostępny. Wiedzieliśmy, że nasze legitymacje nie pomogą. Jeśli władze Tomaszowa i Piotrkowa nic na ten temat nie wiedzą, to pozostało jedno — łut szczęścia.

Z fotoreporterem Mirkiem Zajdlerem, uzbrojonym w zestaw teleobiektywów pędzimy najpierw do Tomaszowa: zabieramy ze sobą przewodniczącego tamtejszej delegatury MKZ „Solidarność" woj. piotrkowskiego — Ryśka Jobczyka, który po drodze opowiada nam, jak doszło do wywołania tematu „Gierkówka" na ostatniej sesji MRN i gnamy do Spały. Jak znaleźć „języka"? Kogoś, kto przeprowadzi nas przez okoliczne lasy swoimi ścieżkami, pomoże dostać się do ukrytych w spalskich ostępach obiektu? Krzyska Dębińskiego zaczepiamy przypadkiem na ulicy: „kupuje" temat natychmiast, zna te tereny od dziecka i będzie naszym przewodnikiem. Stopień trudności całej operacji kwituje krótko. „Chcecie mieć zdjęcia? No to pozostaje skok przez płot...".

W tych lasach rzeczywiście można zginąć. Krzysiek prowadzi jednak bezbłędnie: — Przed tartakiem dawaj w lewo, teraz w tę asfaltową drogą; dobra, jest parkan, trzeba schować samochód". Na piasku rysuje szkic: tu willa na wzgórzu, tu budynki gospodarcze, tu staw. Rozdzielamy role — dwóch zostaje przy wozie, trójka rusza od strony stawu. Pusto, cicho; przebiegamy asfaltową drogę i po chwili jesteśmy po drugiej stronie wysokiej siatki. Zdajemy sobie sprawę, że w każdej chwili możemy zostać zatrzymani; mamy służbowe legitymacje oraz świadomość, że jednak jesteśmy niepożądanymi gośćmi. Cholera: z lewej strony bagno, z prawej chaszcze nad stawem, w głębi widać ławeczki. Mirek „strzela" widoczek wody, przez mostek nie chcemy przechodzić, to prawie pewna „wpadka". Wycofujemy się.

Po naradzie zmieniamy plan. Jedziemy około 2 kilometrów dalej, parkujemy niedaleko za enigmatycznym drogowskazem „Do punktu czerpania wody". — Jaki to był punkt czerpania wody nie muszę wam tłumaczyć — śmieje się wszystkowiedzący Krzysiek: O, tu na słupku są nalepione odblaskowe paski folii: jak „lecieli" w nocy samochodami kierowca nie miał prawa się pomylić.

Jedna ekipa ma ryzykować marsz przez las (taki mały manewr oskrzydlający), a druga pół godziny później ma pójść „na całość", czyli próbować wejść przez bramę. A przynajmniej zaabsorbować na tyle wartowników, by kolegom było choć nieco łatwiej przedostać się do „matecznika". Śmiechu warte: przypominają się sceny z jakichś kiepskich kryminałów. „Działa Navarony", zabawy w podchody itp. Zwłaszcza gdy pada „komenda": regulujemy zegarki....

Szczęście tego dnia było naszym silnym atutem: 45 minut później spotykamy się wszyscy przed malowniczo usytuowanym na wzgórku domem letniskowym byłego pierwszego sekretarza. Ekipa nr 2 była naprawdę w czepku urodzona: przy bramie (bez wartownika) znaleźli dziurę w siatce ogrodzeniowej, przez nikogo nie zaczepiem przemknęli między drzewami aż do rozległej polany, na której przysnił się DOM. Elegancki, w głównej części jednopiętrowy, biały z czerwonym dachem, bogato „inkrustowany" drewnem — z dala przypominał szlachecki dworek. Gustowny podjazd, cieniste atrium z nieczynną fontanną, podcieniami i białymi filarami — prawdziwie letniskowa rezydencja, przytulny bungalow na zielonym wzgórzu. Z dziwnym uczuciem naciskamy klamkę (może jest ktoś z domowników?), niestety, dom jest pusty, zamknięty na głucho. Jeszcze rzut oka przez przestronne, szerokie okna do wnętrza: nic nadzwyczajnego — jakieś boezerie, wykładziny, maleńki basen bez wody; Mirek z szybkością karabinu maszynowego „strzela" apartament. Teren jest kompletnie odkryty, lada chwila może skończyć się nasza działalność. Po chwili znów z duszą na ramieniu pędzimy przez krzaki. Kwadrans później spotykamy się na krzyżówce; widzieliśmy DOM, mamy zdjęcia, cieszymy się z udanej „akcji", choć gdzieś tam, w głębi każdy ma świadomość, że nie odbyło się to z aprobatą gospodarzy. Ale czy mogliśmy na nią liczyć?...

No tak — ale brak szczegółów dotyczących wnętrza obiektu, jego wykorzystania i ten ogrom hektarów podany przez kolegów z „Kuriera" też się nam nie zgadza. Właśnie — leśniczy! Ten może znać takie „drobiazgi". Po godzinie poszukiwań odnajdujemy Andrzeja Nowaka przy szacowaniu szkód rolnikom na polach jednej z wiosek. — Iiii, panie, nawet 100 hektarów tam nie ma, przesadzacie, jak to dziennikarze. Ludzie zwą to „Gierkówką", ci co na grzyby chodzili — Dębową Górą, bo fakt — z 50 pięknych dębów to tam stoi i modrzewi kilkadziesiąt. No, ja tam wchodziłem, nie powiem, ale do robót czysto pielęgnacyjnych, drzewo wyciąć, takie rzeczy, ale nigdy jak był GOŚĆ. Wtedy kontrola była wzmocniona, a w końcu trudno mi byłoby ich przekonać, że akurat wtedy muszę swego leśnego „dobytku" doglądać...

Szukamy dalej. — Ten nie wie, tamten nie chce mówić, inny uśmiecha się znacząco: — A po co to wam? Wiozący pełną furę trocin mężczyzna chętnie zgadza się na pogawędkę, zapalamy „Popularnego", ale od razu uprzedza: — Panowie, co ja tam wiem, tyle co i wszyscy, a nawet mój szwagier, co wie trochę więcej, to i po wódce mi tłumaczy — „A co cię to obchodzi?...„ Szczegółów dorzuca nam w sumie tyle, co i sami wiedzieliśmy.

Wreszcie jest ślad: młody facet, jeszcze niedawno służył w reprezentacyjno-ochronnej jednostce MSW strzegącej obiektów, a podobno ktoś z jego rodziny był czy jest cywilnym pracownikiem w DOMU. Wędrujemy od chałupy do chałupy, pytamy ludzi, znajdujemy.

— A dlaczego to panów tak interesuje? — uśmiecha się. — Jeśli mówicie, że tam byliście, to ja nic więcej chyba nie dodam. Nie chodzi tu o żadne tajemnice państwowe, to nie to, ale jak sobie wyobrażacie: prosty żołnierz miał styczność z SZEFEM? To znaczy — oczywiście — widziałem GO wiele razy, przyjeżdżał zwykle w piątek, sobotę, czasem na dwa — trzy dni, niekiedy na krótko w święta. Zaraz, zaraz, ostatni raz, z tego co się orientuję, był po dożynkach w Piotrkowie. Przyjeżdżał zwykle z żoną, niekiedy z synami i ich dziećmi. No cóż, wypoczywali, spacerowali, czy się im nie należało? Jak w czasie takie spaceru spotkałem SZEFA, to stawałem przepisowo na baczność, a ON czasem o coś zapytać, rzucił parę stereotypowych słów...

— Co jeszcze? Cała obsługa praktycznie składała się z żołnierzy; kelnerzy, kucharze, itd. Mam w rodzinie osobę, która zatrudniona tam jeszcze jest jako tzw. pracownik gospodarczy, ale wiecie, no, ze zrozumiałych względów nie chciałbym ani jej nazwiska podawać, ani w jej imieniu mówić. To by zakrawało na „ploty". Pewnie, sam też pamiętam fajne historie, ale hm, jeszcze nie czas o nich opowiadać. I nie namawiajcie mnie — „farby" nie puszczę — śmieje się. Cóż mogę dodać? Chyba to, że młodszy syn SZEFA — Jerzy lubił polować, a tu zwierzyny, jak wiecie, nie brakuje. Miał swoją ambonę tuż przy parkanie, rzucało się żer na przykład dla dzika i walił z góry. Były i lisy, były kaczki.

— W rezydencji, cóż, byłem także, oczywiście, nie wtedy gdy byli goście. Ale panie, toż tam nie było żadnych cudów: dywany, boazerie, sporo drewnianych akcentów, kolorowy telewizor, takie rzeczy. No bo chyba nie dziwią nikogo kafle w łazience? Basen jest, ale przecież taki mały, że tylko zanurzyć się można. No tak, jest sala kinowa, a łącznie — ja wiem — z dziesięć pokoi. Ogrzewanie? Były takie piece na ropę. A kryzys w kraju to i w tym obiekcie odczuliśmy: już np. nie ogrzewali domu „na okrągło", a tylko przed przyjazdem SZEFA. To tyle, może jeszcze kiedyś porozmawiamy sobie na ten temat...

A co wiedzą władze gminy Inowłódz i województwa piotrowskiego na ten temat? Niewiele, to znaczy tyle, że taki obiekt koło Konewki istnieje, sami tam nie byli. Hasło „obiekt specjalny" zamykało wszystkim usta. Nic praktycznie nie powiedzieli dziennikarzom „Kuriera" ani wiceprezydent tomaszowski — Włodzimierz Bądzior, ani wicewojewoda piotrkowski — Władysław Wałach. „Bliższa koszula ciału" — pytamy więc w gminie Inowłódz. W telefonicznej rozmowie naczelnik gminy — Tadeusz Cisowski odpowiada: — Tak, wiem o obiekcie w Konewce, wszak to mój teren. Kto budował? Chyba jakaś jednostka specjalna, bo żołnierze wozili materiały. Hm, czy jako gospodarz miałem prawo wstępu? Odpowiem tak: niektórzy moi poprzednicy próbowali drogą oficjalną, lecz bez rezultatów. O żadnych podatkach, za ten teren nic nie wiem...

Z innej „beczki"; dzwonimy do Komitetu Gminnego partii w Inowłodzu: — Czy zastałem pierwszego sekretarza? — Nie, wyjechał do Piotrkowa. — Zbieramy materiał o obiekcie w Konewce. — „Pierwszy" powie wam to samo co i ja, to znaczy nic. Nie znamy tego obiektu, nie mieliśmy do niego żadnego prawa i teraz też nie mamy. — Z kim miałem przyjemność? — Sekretarz komitetu gminnego do spraw propagadny Marian Markiewicz.

Aż dziw, że sprawa „Gierkówki" wypłynęła dopiero na niedawnej sesji MRN w Tomaszowie, właściwie przypadkiem. — Byliśmy tam zaproszeni jako goście — wspomina przedstawiciel tomaszowskiej delegatury, członek Prezydium MKZ NSZZ „Solidarność" Ziemi Piotrkowskiej — Zbigniew Rychlik. — Doktor Nakiela z ZOS mówił m.in. o fatalnych warunkach panujących w miejskim szpitalu; można by na potrzeby lecznictwa przyjąć pobliski Państwowy Dom Pomocy Społecznej, ale gdzie przenieść później PDPS? Zgłosiliśmy wówczas oficjalnie propozycję takiej „przeprowadzki" do rezydencji w Lasach Spalskich. Może nadawałaby się na jakiś oddział szpitala dla psychicznie chorych lub alkoholików? Po prostu trzeba ten temat dokładnie „rozpracować", tylko jak, jeśli władze miasta i województwa nie mają tam wstępu.

Nie naszą rzeczą przesądzać o ostatecznym przeznaczeniu DOMU: to sprawa specjalistów. Bezsprzecznie warto jak najszybciej go zagospodarować, przecież według wiarygodnych opinii od około półtora roku stoi bezużytecznie. Choć strzeżony jest nadal, nikt nie odwołał jednostki MSW; w rezydencji systematycznie dba się o czystość, ściera kurze, podlewa kwiaty. Czyżby nadal czekano na GOŚCI? Tylko jakich?...

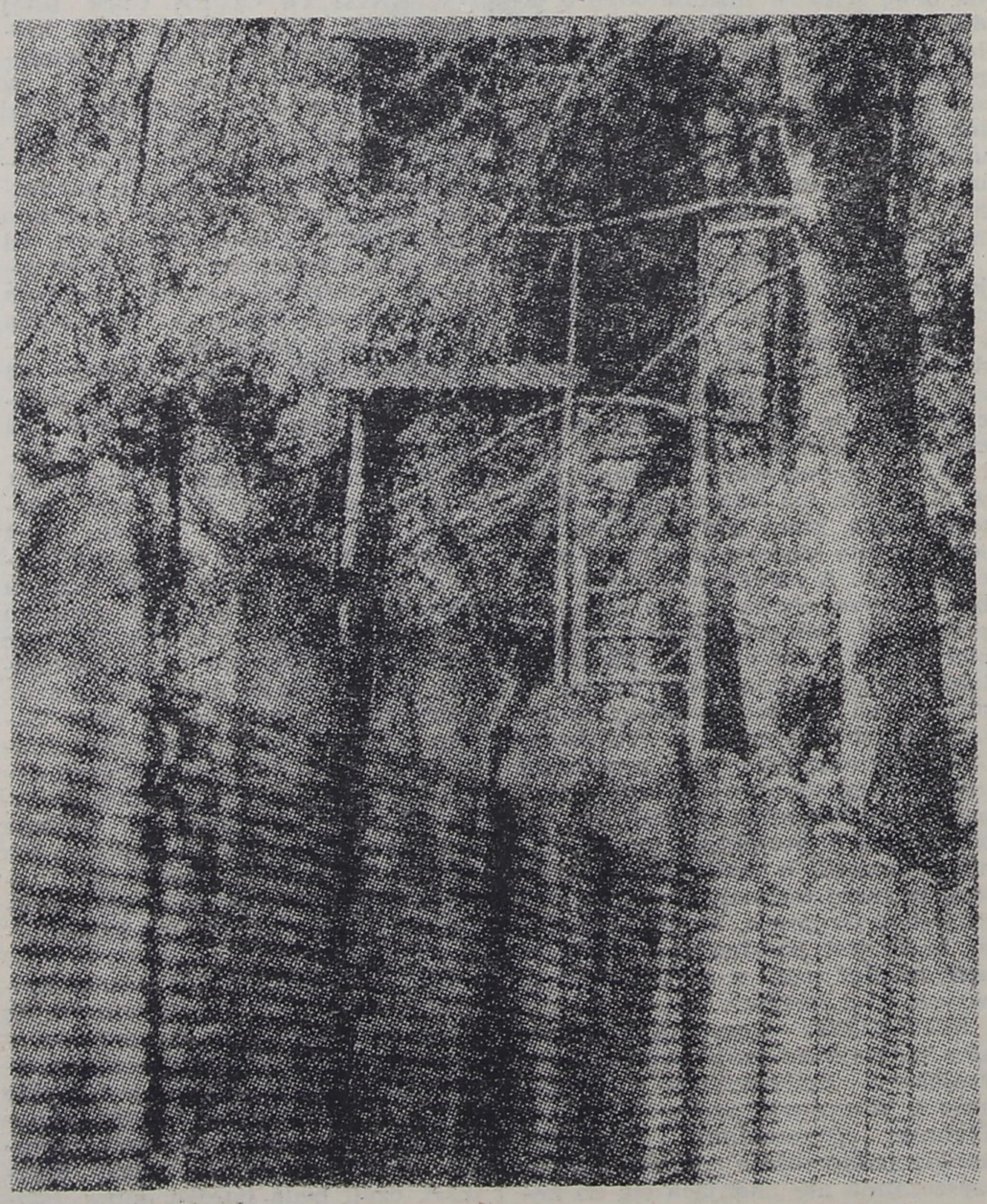

Miał swoją ambonę tuż przy parkanie, rzucało się żer, np. dla dzika i walił z góry.

WŁODZIMIERZ IBRON
DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Reprodukcje **GABOR LÖRINCZY**

Przedruk z „Głosu Robotniczego" nr 93 (11284) z 11.V.1981 r

PAMIĘTNIK NASTOLATKA

Po maturze, młody człowieku co dalej...

Zbliża się koniec roku szkolnego. Wraz z nim — koniec nauki w Szkole Podstawowej. Jako jedyny z pięciu kandydatów z naszej klasy, najgorszej z czterech ósmych, jak jednomyślnie stwierdzają nasi belfrowie, otrzymuję prawo do uczestniczenia w egzaminach do Technikum Elektrycznego. Zawdzięczam to ocenom z klasy siódmej i półrocza ósmej. Reszta kolegów odpadła we wstępnym konkursie świadectw. Bardzo pomogła mi w tym najwyższa ocena ze sprawowania na półrocze klasy ósmej, którą to otrzymałem z wielkiej, jak to wszyscy podkreślali do końca roku, łaski i tylko dlatego, „żeby nie łamać ci kariery".

Niestety, łaska ciała pedagogicznego skończyła się po szkolnej wycieczce do Krakowa, Oświęcimia i Wieliczki, kiedy to mnie — oraz paru kolegów — niezbyt grzecznie wyproszono spod łóżek żeńskiej części klasy. Po powrocie z ekskursji odbyły się przesłuchania, wzywanie rodziców i tym podobne zabiegi kierownictwa, które będąc w dość młodym wieku, obawiało się zostać przedwcześnie dziadkami. Cała sprawa skończyła się oceną dostateczną ze sprawowania na świedectwie ukończenia szkoły podstwowej. Ocenie tej w największym stopniu zawdzięczam, że nie musiałem spędzić pięciu lat w murach Technikum Elektrycznego.

Po zdaniu egzaminu i nie przyjęciu mnie „z braku miejsc" otrzymałem trzy propozycje: Technikum Melioracji Wodnych, Liceum Ogólnokształcące i Zasadnicza Szkoła Elektryczna. Najmniejszej ochoty ani powołania nie czułem do zawodu melioranta. Również nie pociągała mnie nauka o wszystkim i niczym w Liceum. Pozostała Szkoła Zawodowa.

• • •

Pół roku przeleciało jak z bicza strzelił. Przyszły ferie. Spotkałem koleżankę, z którą w pierwszej klasie podstawówki wygrałem konkurs tańca. Potem, w klasie czwartej, wyjechała i do tej pory jej nie widziałem. Uczyła się teraz w województwie lubelskim. Zakochałem się w niej lub tylko mi się tak zdawało. Po feriach Iza wyjechała. Z jej wyjazdem odeszła mi chęć do nauki. Czekałem z utęsknieniem na wakacje. Doszło do tego, że szkołę odwiedzałem tylko w sobotę, by mieć w niedzielę spokojne sumienie.

Przyszedł wreszcie czerwiec. Zrobiłem sobie obrachunek ocen uzyskanych w drugim półroczu i doszedłem do wniosku, że żadna ocena niedostateczna mi nie grozi. Powiedziałem matce, że jadę na wycieczkę szkolną. Namówiłem kolegę i we dwóch, z namiotem, udaliśmy się na zwiedzanie ziemi lubelskiej. Bawiliśmy tam przez tydzień.

Po powrocie — zaskoczenie. W domu wiedzą, że szkoła nie organizowała żadnej wycieczki. Odwiedzam paru kolegów i sprawa się wyjaśnia. Wychowawczyni klasy wysłała pewnego, mało rozgarniętego, ucznia po rodziców chłopaka o podobnym nazwisku. Ciemniakowi się pokićkało i przyszedł do mnie. Matka zjawiła się w szkole, gdzie nieporozumienie wyjaśniono, ale również uświadomiono jej, że synek od tygodnia nie uczęszcza na zajęcia szkolne i na pewno nie przebywa na żadnej wycieczce szkolnej. Na domiar złego dyrektor szkoły, nasz polonista, przekonał mnie, że oceny: dobry, dostateczny i niedostateczny, wbrew logice, nie dają średniej oceny dostateczny. Tak kończy się moja nauka w Zasadniczej Szkole Elektrycznej.

• • •

Rysiek, kolega ze szkoły podstawowej, kończy naukę o rok później. Namawia mnie na podjęcie edukacji w szkole budowlanej w Olsztynie. Składamy razem dokumenty. Jego odrzucają. Jadę do Olsztyna. Odnajduję szkołę — daleko na peryferiach. Ryśka podanie odrzucone, gdyż chciał się uczyć zawodu murarza, a kierunek ten był przepełniony. Moje podanie, bez podanej specjalności, przeszło i umieszczono mnie w klasie cieśli. Sam w nowym otoczeniu nigdy nie czułem się dobrze. Po dwóch dniach rzucam szkołę i wracam.

• • •

Rysiek uczy się w budowlance w Kętrzynie. Przyjmują i mnie. Po tygodniu zaczynają się zajęcia praktyczne. Szkolna budowa znajduje się dwa kilometry za miastem. Po pierwszym dniu rezygnujemy. Do końca miesiąca w domu nic nie wiedzą. Dalej jeździmy do Kętrzyna. Długo tego jednak ukryć nie można. Sprawa się rypnęła.

• • •

Matka po znajomości załatwiła mi szkołę przyzakładową. Kształcę się na ślusarza narzędziowego. Zmienia się mój stosunek do nauki. Na półrocze, mimo konieczności nadrobienia zaległości, wychodzę bardzo dobrze. Zaczynam nałogowo palić. W szkole istnieje taki niepisany regulamin, który w razie podpadki z papierosem przewiduje tygodniową pracę w warsztacie podczas ferii lub wakacji. Nakryto nasz czterech. Karę zamieniono na obcięcie włosów. Koledzy na drugi dzień przychodzą ostrzyżeni. Ja nie. Rozmowy z wychowawcą, dyrektorem. Nie ustępuję. Przypominam niepisaną umowę o tygodniowej pracy w czasie wakacji. Dyrekcja jednak obstaje przy swoim. Jak później się dowiedziałem, kuratorium zakazało zatrudniania uczniów klas pierwszych w czasie przerw w nauce. Sprawę postawiono na ostrzu noża. Albo oni, albo ja.

• • •

Trochę było kłopotu z przeniesieniem do szkoły mechanicznej w Kętrzynie, gdyż był to już koniec maja. Jednakże dyrekcja poszła mi na rękę i przyjęto mnie. Dojeżdżam codziennie pociągiem. Co drugi tydzień zajęcia warsztatowe na drugiej zmianie. W tych dniach wracam do domu o godzinie pierwszej w nocy. Myślę, jakby tu sobie życie ułatwić. Załatwiam zwolnienie lekarskie z zajęć warsztatowych do końca roku.

Przychodzi połowa czerwca i rada pedagogiczna. Wzywa mnie wychowawczyni i mówi: „Masz bardzo mało ocen i nie możemy cię sklasyfikować. Może w poprzedniej szkole wydadzą ci świadectwo".

• • •

Zgłaszam się u dyrektora poprzedniej szkoły: „Owszem, proszę bardzo, wydam ci świadectwo — pod warunkiem, że nauczyciele poszczególnych przedmiotów wyrażą zgodę". Dwa dni załatwiania i jestem znów u dyrektora. Coś mu się jednak odmieniło. Wynajduje najróżniejsze trudności, że to, że tamto... Mam tego słuchania dosyć. Trzaskam drzwiami i wychodzę. Stracony rok.

• • •

Tym razem wakacje trwały znacznie dłużej, bo aż do świąt Bożego Narodzenia. Mimo że to prawie półrocze, myślę o zaczepieniu się gdzieś. Na ferie przyjeżdża Andrzej, kolega z podstawówki. Uczy się z trzema innymi kolegami w Zasadniczej Szkole Budowlanej w Sosnowcu. Nie namyślam się długo i od stycznia jestem uczniem tejże szkoły.

• • •

Uczę się na cieślę. Rok szkolny kończę ze średnią oceną dobry. Nie widzę jednak swojej przyszłości w tym zawodzie. Dzięki dobrym wynikom w nauce dyrektor wyraża zgodę na przeniesienie mnie do klasy o kierunku mechanicznym. Znów wysoka średnia na półrocze. Aż przychodzi wiosna. Wiosna, która odmiennie nastraja mnie do życia. Od marca, mimo odległości 600 kilometrów, co drugi tydzień jestem w domu. Jednak — udaje mi się skończyć drugą klasę. Gdy ja kończyłem drugą klasę, koledzy kończyli szkołę i żaden nie miał ochoty zostać na Śląsku. Ja również. Na trzeci rok nauki już nie pojechałem.

• • •

Zastanawiam się, jak nadrobić stracone lata. Podrobiłem świadectwo ukończenia trzech klas technikum i zjawiam się z nim w Liceum Mechanicznym w Ełku. Mimo, że to początek listopada, wyrażają chęć przyjęcia, pod warunkiem, że wykażę się znajomością pracy na tokarce. Egzamin wypada pozytywnie. Składam podanie o przyjęcie mnie do przedostatniej klasy. Dyrektor jednak proponuje mi klasę maturalną. Wykręcam się, jak mogę, gdyż kalkuluję sobie, że przez sześć miesięcy nie odrobię takich zaległości. Wreszcie, aby przerwać rozmowę, zgadzam się. W domu wszystko sobie spokojnie przemyślałem. Dochodzę do wniosku, że prawdopodobnie nie podołam, a przy okazji może wyjść na jaw cała mistyfikacja, gdyż podrobione świadectwo było wcale nie najgorsze. W wyniku tych przemyśleń w Liceum więcej mnie nie widziano.

• • •

Świadectwa ze szkoły w Sosnowcu nie chcą mi przysłać, gdyż wyjeżdżając ze Śląska nie rozliczyłem się z przedsiębiorstwem. Postanawiam wykorzystać jeszcze raz „lewe" świadectwo technikum. Dostaję się do Zasadniczej Szkoły Radiowo-Telewizyjnej. To jest właśnie to. Wkrótce jestem drugim uczniem w klasie. Nauka idzie mi jak z płatka. Szkołę kończę jako jeden z najlepszych uczniów.

Idę do pracy. Po uzyskaniu zgody dyrekcji zakładu pracy na naukę, zjawiam się w Zaocznym Technikum Elektrycznym po ZSZ. Rok szkolny rozpoczyna trzydzieści sześć osób. Po miesiącu jest już tylko dwadzieścia. Przychodzi sesja egzaminacyjna; staje do niej dziesięciu. Połowie udaje się przejść przez kolejne egzaminy z oceną pozytywną. Tak mała ilość osób zmusza kuratorium do decyzji rozwiązania semestru. Składam podanie o zezwolenie uczestniczenia jako wolny słuchacz w wykładach czwartego semestru i wyznaczenie terminu egzaminów eksternistycznych za semestry trzeci i czwarty. Podanie zostaje bez odpowiedzi. Kolejny rok „do tyłu".

„STUDENT"
(nazwisko i adres znane redakcji)

Fot. GABOR LÖRINCZY

KONTAKTY

WARUNKI PRENUMERATY: Prenumeratę przyjmują Oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: do 25 listopada na styczeń, I kwartał i półrocze roku następnego i na cały rok następny; do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartalna 52 zł, półroczna 104 zł, roczna 208 zł. Jednostki gospodarki uspołecznionej, organizacje społeczne zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa—Książka—Ruch", w miejscowościach zaś, w których nie ma Oddziałów, w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch" „Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-950 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11; prenumeratę ta jest droższa od krajowej o 50% dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy i o 100% dla zleceniodawców indywidualnych.

GALERIA „KONTAKTÓW"

Zbigniew Kruszewski

AS-y kolorystyki

Powiedz mi, z czego żyjesz?" — chciałoby się zapytać tych ludzi palety, którzy, jak Zbigniew Kruszewski i Maksymilian Starzec, nie imają się sztuki użytkowej, planszowych chałtur, a nawet poularnych landszaftów. Obaj studiowali (w latach siedemdziesiątych) w Instytucie Wychowania Artystycznego UMCS w Lublinie m. in. u prof. Mariana Bogusza, a jednocześnie, wraz z pięcioma innymi studentami, tworzyli grupę AS. — Co do jej roli — mają zdania odmienne: Kruszewski twierdzi, że funkcjonowała na zasadzie wzajemnych inspiracji; Starzec — że spajała towarzysko, razem mieszkających, młodych twórców. Zgodni są względem dwóch ustaleń: mieli malować tematy rzeczywiste i w jasnej palecie. Pierwszemu założeniu podporządkowali się obaj: drugie sparafrazowało doświadczenie, nabyte w wytrwałej, systematycznej pracy (mimo młodego wieku — 29 i 30 lat — eksponowali swoje płótna już po kilkanaście razy).

Maksymilian Starzec

Malarstwo Zbigniewa Kruszewskiego, które mogliśmy oglądać — w salonie łomżyńskiego BWA od 10 kwietnia do 12 maja, przywołuje skojarzenia fotograficzne, i jest zapewne — w pierwszej fazie — realizowane przy pomocy rzutnika, z którego obraz stanowi kanwę (również kolorystyczną) przyszłego dzieła. Gęsta i regularna sieć barwnych kółek, niby rastra w zdjęciu gazetowym, pełni rolę analizatora współgrań świetlnych, a jednocześnie — dystansuje formalnie wobec zawartości treściowej drugiego planu; spłaszcza fakturę płótna, a jednocześnie, przez swoje kolorystyczne zróżnicowanie, pozoruje wielokrotną głębię. Efekt jest znakomity; zadziwia pracowitością artysty, a jednocześnie — prefekcją w operowaniu barwą.

Równie urokliwą kolorystyką uwodzą obrazy Maksymiliana Starca (wystawiane od 13 maja br. do 4 czerwca w salonie BWA), choć pełnej gamy jego dorobku nie dane było nam zobaczyć, ponieważ dyrektorowi BWA nie udało się zdobyć samochodu na przewiezienie ich z Warszawy. Na plecy dyrektora i artysty (drobnej postury) weszło niewiele, i to małego formatu, a z porównania płócien widać, iż wizje malarskie Starca pełniej żyją na płótnach dużych; sam te niewielkie nazywa skromnie „studiami". Nie interesuje go perspektywa; w jednopłaszczyznowych płótnach w pełni zdaje się na barwę jako środek konstrukcji obrazu.

Muszę się jeszcze zadziwić fragmentem — towarzyszącego wystawie Zbigniewa Kruszewskiego — katalogu, a mianowicie: impresją pióra Moniki Małkowskiej; przepychem słowa przerasta ona nie tylko potrzeby tego typu — popularyzatorskich przecież — wydawnictw, ale również wyobrażenia twórcze artysty. Znam przekorną prawdę, że dzieła są mądrzejsze od twórców, zaś krytycy — i od dzieł, i od wykonawców. Tylko dlaczego trzeba to podkreślać ekspozycją nazwiska recenzenta? **(zel)**

Fot. GÁBOR LÖRINCZY

sport

Co mają tulipany i kaczeńce do sportu? Że niby kojarzą się z urodą wysportowanej młodzieży? Też. Lecz głównie chodzi o kolor. Mówi sekretarz Okręgowego Związku Piłki Nożnej w Łomży, Ryszard Podsiad: — W rozegranych dotychczas sześciu kolejnych meczach klasy okręgowej i wojewódzkiej seniorów oraz juniorów, a także w czterech wiosennych rundach rozgrywek okręgowych o puchar Polski sędziowie rozdzielili pomiędzy zawodników z łomżyńskiego OZPN-u czterdzieści pięć kolorowych kartoników, w tym aż dziesięć czerwonych jak tulipany. Czyli więcej niż przez cały ubiegły rok! Co smutniejsze: jedna żółta kartka i trzy czerwone przypadły juniorom.

Zatem w dziedzinie kolorów sytuacja rozwija się pomyślnie, bo rozgrywki rundy wiosennej osiągnęły dopiero — mniej więcej — półmetek. Musimy jednak pohamować swój przedwczesny entuzjazm, bowiem istnieje obawa, że w ostatniej kolejce rozgrywek sędziowie nie będą mieli kogo obdzielać kolorowymi kartonikami.

Oto zły duch (wcale nie sportowej rywalizacji) wkroczył na boiska województwa. Zgodnie z hasłem: „złam mu nogę" — zawodnicy rzadziej polują na piłkę niż na kości przeciwników. Zamiast w łaciatą kulę — celują w żebra leżącego „wroga" i główkuje się twarz kolegi z przeciwnej drużyny lub... arbitra! Sypią się zęby i trzeszczą kości. Czasami można odnieść wrażenie, że oto mamy przed sobą zawody bokserskie, a nie mecz piłkarski. Kibice się nie nudzą, bo poziom spotkań słabiutki, a jego program — siłowy raczej niż techniczny. To prawda, że rzadko zdarzają się nokauty, ale to przecież nie wina samych zawodników, ile tych, którzy zaopatrywali ich w bony na przekąski, dlatego sportowcy nie prezentują — wymaganej w boksie — siły i precyzji ciosu.

Kusi mnie, aby przez kilka rozsądnych propozycji — uatrakcyjnić te spotkania. Radzę więc działaczom ze Szczuczyna nawiązanie współpracy z sekcją bokserską „Mazura" lub „Gwardii", bo wówczas zawodnik „Wissy" z pewnością powali sędziego na ziemię celną główką w usta!

tulipany i kaczeńce

I nie będzie musiał w przyszłości poprawiać, dla uzyskania zamierzonego efektu, koło szatni.

W nagrodę za piękne widowisko z 10 maja br. kibicie ze Szczuczyna podciągną się w turystyce, bo OZPN w Łomży wyda chyba decyzje, aby „Wissa" swoje mecze przez jakiś czas rozgrywała w Grajewie. Oprócz piłkarzy „Wissy", działaczy oraz ich wiernych kibiców — skorzystają również grajewianie: w dalszym ciągu będą mieli okazję oglądać zawody piłkarskie, jako że futboliści „Warmii" zostali wycofani z rozgrywek. Ale już nie będzie to nagroda, tylko konieczność, ponieważ w Grajewie nie ma komu po prostu grać w piłkę.

Muszę wyrazić swoje ubolewanie, że nie wszędzie docenia się potrzebę eksperymentowania i urozmaicania widowisk piłkarskich. Podczas meczu o puchar Polski pomiędzy „Olimpią" i „Orłem", rozgrywanym w Czerwonym Borze, w końcówce spotkania, gdy piłkarze „Olimpii" rozpoczęli happening z kibicami przybyłymi na mecz z Kolna, a trener „Orła" dawał pokaz gimnastyczny, wykonując rzadko spotykaną i skomplikowaną figurę akrobatyczną, jaką jest wiatrak (przy dzielnej pomocy jednego z zambrowskich piłkarzy), nie znający się na rzeczy porządkowi gospodarzy przerwali to — pięknie zapowiadające się — widowisko. Jak twierdzą niektórzy obserwatorzy omawianych tu wydarzeń (osobiście im jednak nie wierzę), nad boiskiem pojawiły się NOL-e, które przypominały butelki po produkcie pobliskiego browaru.

Przy tym wszystkim naiwne wydaje się postępowanie trenerów wystawiających do gry zawodników zgłoszonych w innych drużynach. Nie mają oni po prostu właściwości znikania i łatwo dają się identyfikować.

Jeśli ambicje skierujemy ku uatrakcyjnianiu widowisk piłkarskich, musimy uświadomić naszym zawodnikom, że dotychczas zdobyli łącznie 20 różnobarwnych kartek, a ciechanowiacy i ostrołęczanie — aż 25! Tamci się naprawdę starają. Nie wstyd Wam, chłopcy?

WYMIATACZ

skrzyżowania

Doszedłem do wniosku, iż w czas wiosny warto więcej uwagi poświęcić losowi osób w „złotym wieku". Zdopingowały mnie coraz liczniejsze komunikaty o tragicznych wypadkach drogowych, których ofiarami padli tacy właśnie ludzie. Często słyszy się narzekania kierowców na tę grupę użytkowników dróg, że nie wiadomo, czy zrobią krok naprzód, czy wstecz, i wychodzą na jezdnię nie bacząc na nadjeżdżające pojazdy. To prawda, lecz znajomość fizjologii organizmu ludzkiego pozwala zrozmieć osłabienie wzroku, słuchu, refleksu i zdolności - motorycznych, postępujące wraz z wiekiem. Jego nieuchronne konsekwencje nie ominą nikogo.

Skoro jednak wiemy o tym wszyscy, skąd tyle ofiar wypadków? Sądzę, że po prostu nie wystarczy wiedzieć; trzeba swoje postępowanie do tej wiedzy dostosować. Przykładowo: kubek fajansowy śmiało ujmujemy w ręce, ale już filiżankę z cieniutkiej porcelany trzymamy z ogromną ostrożnością. Podobnej delikatności wymagają ludzie starsi. Zasłużyli sobie na to z pewnością bardziej niż chińska porcelana, nawet jeśli pochodzi z czasów dynastii Ming.

Lecz na drodze osoby takie stoją zwykle na pozycjach przegranych, a niekiedy bywają wręcz szykanowane. Ileż to razy młodsi przejdą przez jezdnię, a babuleńka nie zdąży i czeka dalej, zaś żaden z kierowców nie ułatwi jej przedostania się na drugą stronę. Do autobusu wsiadają wszyscy, zostanie na przystanku staruszek. Zatrzaskuje się drzwi przed jego nosem, tak jakby w ogóle nie istniał.

kochajcie staruszka do jasnej...

Wybacz, Mistrzu Ildefonsie, żem ośmielił się wzorować tytuł niniejszego felietonu na sławetnym Twym apelu o miłość do wróbelka. Jednakowoż mniemam, iż pewnym usprawiedliwieniem będzie podobieństwo staruszka i wróbelka: obaj są delikatni, wrażliwi. Przyznać trzeba jednak wyższość ptaszka nad człowiekiem: wróbelek fruwa, staruszek — niestety — nie... A przydałaby mu się ta umiejętność! Wówczas — zamiast mozolnie dreptać przez jezdnię i utrudniać żywot Panom Kierowcom — mógłby ją przelecieć. I do autobusu także by zdążył.

Wielu z nas, w pełni świadomych czekającej ich starości, jeszcze dziś nie dopuszcza do siebie takiej myśli. O przecież ten, kto bez pardonu przegania klaksonem z przejścia człowieka w podeszłym wieku, jutro sam, być może, stanie w roli przeganianego.

DYŻURNY DROGOWSKAZ
Fot. GABOR LÖRINCZY

4.06.1981 TV 10.06.1981

CZWARTEK 4 CZERWCA 1981 R.
PROGRAM I
6.00 TTR, RTSS — chemia, sem. II; 6.30 — biologia, sem. II.
12.50. „Fiodor Dostojewski" — film oświatowy.
13.30. TTR, RTSS — fizyka, sem. IV; 14.00. — uprawa roślin, sem. IV.
14.30. Telewizja w sprawie miliardów.
15.30. Turniej zastępowych.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. Obiektyw — Warszawa.
16.30. Czwartek TDC, m.in. „Pierwsza miłość" i „Był sobie człowiek".
17.30. Informator turystyczny.
17.45. „Osadnictwo wojskowe" — program wojskowo-historyczny.
18.15. Klub CDN — „Bariera".
18.50. Dobranoc.
19.00. Sonda — „Kaliber" 0.3".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Spadkobiercy pani Burke" — irlandzki film kryminalny.
21.30. Pegaz.
22.05. „Próby" — magazyn społeczno-ekonomiczny.
22.35. Dziennik Telewizyjny.
22.50. Studio Festiwali Krakowskich.
23.05. Telewizja w sprawie miliardów.
PROGRAM II
16.30. Język rosyjski (14).
17.00 Język francuski (14).
17.30. Język angielski dla zaawansowanych (10).
18.00. Program morski.
18.30. „Szacunek dla chleba"
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. NURT — język polski.
20.30. NURT — „Porozmawiajmy z mistrzem".
21.00. NURT — psychologia.
21.30. 24 Godziny.
21.40. „Portret z autografem" — Martin Riteman (tenor).
22.10. „Bez recept".
22.35. „Obrońcy" — amerykański film kryminalny.

PIĄTEK 5 CZERWCA 1981 R.
PROGRAM I
6.00. TTR, RTSS — fizyka, sem. IV; 6.30. — uprawa roślin, sem. IV.
9.00. „Chrońmy przyrodę" — program dla najmłodszych.
13.30. TTR, RTSS — hodowla zwierząt, sem. II; 14.00 — uprawa roślin, sem. II.
15.10. Program dnia.
15.15. Redakcja Szkolna zapowiada.
15.30. NURT: praca — technika.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. Obiektyw — Wrocław.
16.30. „Piątek z Pankracym".
17.00. Magazyn motoryzacyjny.
17.15. „Arsene Lupin" — Herlock Sholmes rzuca wyzwanie".
18.15. Skarbiec.
18.50. Dobranoc.
19.00. Monitor Rządowy.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Gdy myślę — partia".
20.15. Rolnicze rozmowy.
20.25. „Szaleństwo miłości" — indyjski melodramat kostiumowy.
22.50. „Listy o gospodarce".
23.35. Dziennik Telewizyjny.
23.50. „Zapraszamy do nas" — „Loża 44".
0.50. Studio Festiwali Krakowskich.
PROGRAM II
16.30. Język rosyjski (15).
17.00. Język francuski (15).
17.30. Język angielski dla zaawansowanych (11).
18.00. Kino TDC — „Sekrety kina".
18.30. „Latający Holender" — akcja letnia Bractwa Żelaznej Szekli.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Studio Sport.
21.30. „Uśmiech spod parasola".
22.00. 24 godziny.
22.10. „Wieczorne rozmowy w kręgu rodziny".
22.45. „Spójrz na mnie niewierna" — jugosłowiański film fabularny.

SOBOTA 6 CZERWCA 1981 R.
PROGRAM I
6.00. TTR, RTSS — hodowla zwierząt, sem. II; 6.30 — uprawa roślin, sem. II; 7.00 — język polski, sem. IV; 7.30 — geografia, sem. IV.
10.05. „Z dala od kraju" — wojskowy film dokumentalny.
11.25. Koncert Orkiestry PR i TV w Krakowie.
12.15. Kultura 81.
13.15. Siedem anten.
14.30. „Małżeństwo po babsku" — film fabularny prod. NRD.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. „Skakanka".
16.45. „Gwiazdozbiór" — Jane Fonda.
17.30. „Z polski rodem" — magazyn polonijny.
18.00. I liga piłki nożnej.
18.50. Dobranoc.
19.00. CDN: Lista przebojów książkowych.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Punkt widzenia" (6).
20.50. Blisko i daleko.
21.45. Śpiewa Jerzy Połomski.
22.25. Dziennik Telewizyjny.
22.40. Kino Nocne: „Kuzyn — kuzynka" — francuski film fabularny.
PROGRAM II
10.30. „Wrogowie" — dramat społeczny prod. ZSRR.
12.00 — 23.10. STUDIO 2.
12.05. „Tak czy nie" — teleturniej.
12.35. Konferencja prasowa z redaktorem Samsonowiczem.
13.00. „Gwiazdy na lodzie" — program rozrywkowy.
13.30. „Oko w oko z ministrem".
14.00. Ryszard Wójcik przedstawia: „Ostoja-Kotkowski, twórca muzyki laserowej".
14.30. „Muppet show".
15.00. Godzina z reportażem
16.00. STUDIO 2 dla Ciebie.
16.30. „Co jest ze Spanielem?"
17.00. I liga piłki nożnej.
17.45. „Wyrok" (3) — „Sędzia".
18.25. „Jazz rock sesion" — zespoły „Krzak" i „Kasa Chorych".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Z muzycznego archiwum Studia 2.
20.50. „Blizny" (2).
21.35. Ze stopką w tytule — „Lobby mieszkaniowe".
22.10. „Upiór" — nowela TP.
22.40. Dziennik Telewizyjny.

NIEDZIELA 7 CZERWCA 1981 R.
PROGRAM I
6.20. TTR, RTSS — język polski, sem. IV; 6.50 — geografia, sem. IV; 7.20 — „Wiedza naszą szansą".
7.40. Nowoczesność w domu i zagrodzie.
8.10. Emerytury dla rolników.
8.20. „Od słowa do działania".
8.35. Telewizjada.
9.00. Teleranek, m.in. film z serii „Daktari".
10.30. Antena.
11.00. „Wielkie miasta świata" — Paryż.
12.00. Dziennik Telewizyjny.
12.40. „Z serca i znoju" — program publicystyczny.
13.10. „Piórkiem i węglem".
13.40 — 23.15. Tylko w Niedzielę.
13.45. Pamiątki po Władysławie Sikorskim.
14.05. „Przygody Sindbada".
14.30. Sejm o kulturze — „Fonografia".
15.20. „Mieszkanie, ale jakie?".
15.40. „Dziedzictwo" — felieton filmowy.
15.50. „Orle skrzydło" — angielski film przygodowy.
18.00. Tylko w Niedzielę na Służewcu.
18.15. Godzina z Mieczysławem Foggiem.
19.05. Wieczorynka.
19.30. Dziennik Telewizyjny
20.00. „Buddenbrookowie" (7).
21.10. Czesław Miłosz w „Stodole".
21.50. Sportowa Niedziela.
22.20. „Wielki świat — Teatr Muzyczny w Gdyni.
22.55. Studio Festiwali Krakowskich.
23.10. Wiersz dla Ciebie.
PROGRAM II
9.45. „Dzieje Mazurka Dąbrowskiego" — program wojskowy.
10.15. „Punkt widzenia" (6).
11.05. Przeboje tygodnia.
12.05. Studio Sport.
13.05. „Gram dla..." — teleturniej.
13.45. Teatr Telewizji.
15.50. Popołudnie Fauny i Flory.
16.35. Nieliczne Towarzystwo Muzyczne.
17.35. Studio Sport.
19.00. Kinematograf.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Telewizyjny music-hall.
21.05. Filmy Kazimierza Kutza: „Ktokolwiek wie...".

PONIEDZIAŁEK 8 CZERWCA 1981 R.
PROGRAM I
13.30. TTR, RTSS — język polski, sem II; 14.00 — matematyka, sem. II.
15.30. NURT — psychologia.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. Obiektyw — Gdańsk.
16.30. Zwierzyniec.
17.00. „Czterej pancerni i pies" (20) — „Brama".
17.55. „Lekcja historii" — program publicystyczny.
18.15. Impulsy — magazyn spraw pracowniczych.
18.50. Dobranoc.
19.00. Echa stadionów.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Rolnicze rozmowy.
20.10. Teatr Telewizji — Botho Strauss: „Trylogia ponownych spotkań" w reż. Zygmunta Hübnera.
22.10. Program publicystyczny.
22.30. 30 minut z architekturą.
23.00. Dziennik Telewizyjny.
PROGRAM II
16.30. Język rosyjski (16).
17.00. Język francuski (16).
17.30. Język angielski dla zaawansowanych (12).
18.00. „Mare nostrum" (1) — podstawowe pojęcia z dziedziny prawa morza.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Mare nostrum" (2).
20.40. „Bałtyk jest jeden" — film dokumentalny.
21.15. „Mare nostrum" (3).
21.35. 24 Godziny.
21.45. „Kontrabanda" — radziecki film sensacyjny.

WTOREK 9 CZERWCA 1981 R.
PROGRAM II
6.00. TTR, RTSS — język polski, sem. II; 6.30 — matematyka, sem. II; 13.30 — język polski, sem. IV; 14.00 — historia, sem. IV.
14.30. Telewizja w sprawie miliardów.
15.50. Telewizyjny Klub Seniora.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. Obiektyw.
16.30. „Dzień dobry w kręgu rodziny".
16.55. „Wesołe melodie" — film animowany.
17.20. Patrol — „My z ZSMP".
17.50. Polska Kronika Filmowa.
18.00. Magazyn CDN.
18.50. Dobranoc.
19.00. Klinika Zdrowego Człowieka.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Poemat o skrzydłach" (1) — radziecki film o Andrieju Tupolewie.
21.30. Forum ekonomistów.
22.15. „Ocalić od zapomnienia".
22.45. Dziennik Telewizyjny.
23.00. Telewizja w sprawie miliardów.
PROGRAM II
16.30. Język rosyjski (17).
17.00. Język francuski (17).
17.30. Język angielski dla zaawansowanych (12).
18.00. Dla młodych widzów — „Cała naprzód".
18.30. Pegaz Młodych.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Świat książek Ryszarda Ziemby (2) — „Dawna i nowa historia opraw".
20.35. Wtorek Melomana.
21.35. 24 Godziny.
21.45. Wieczór Filmowy: filmy Johna Griersona oraz polskie filmy dokumentalne.

ŚRODA 10 CZERWCA 1981 R.
PROGRAM I
6.00. TTR, RTSS — język polski, sem. IV; 6.30 — historia, sem. IV; 13.30 — chemia, sem. II; 14.00. — biologia, sem. II.
14.30. Telewizja w sprawie miliardów.
15.30. NURT — język polski.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. Obiektyw — Kraków.
16.30. „Michałki".
17.00. Losowanie Express lotka i Małego lotka.
17.10. Dom i my — poradnik
17.20. Giełda.
17.30. Magazyn motoryzacyjny.
17.50. „...i Węgier Polakiem" — reportaż filmowy.
18.05. „Pomówmy o lekarzach" — program publicystyczny.
18.50. Dobranoc.
19.00. „Wyspy Hiszpanii" — Ibiza.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Program publicystyczny.
21.05. Teatr Faktu — Aleksander Borin: „Znachor" w reż. Tadeusza Żuchowskiego.
22.45. Dziennik Telewizyjny.
23.00. Telewizja w sprawie miliardów
PROGRAM II
17.10. Język rosyjski (18).
17.40. Język francuski (18).
18.10. „Niebezpieczna namiętność" — czechosłowacka komedia filmowa.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Szkiełko i Oko.
21.30. 24 Godziny.
21.40. Ekran Reporterów.
22.10. „Duet młodych" — tańczą Nadieżda Pawłowa i Wiaczesław Gordiejew.

Łomża, kino „Październik": 4—6 VI — „Ojciec Chrzestny II", prod. USA (od lat 18); 7—9 VI — „Płonący wieżowiec", prod. USA (od lat 15); 10—12 VI — „Indeks", prod. pol. (od lat 15).
Ciechanowiec, kino „Meteor": 4—5 VI — „Miecz", prod. węg. (od lat 12); 6—7 VI — „Korek", prod. włosk. (od lat 18); 9—11 VI — „Idealna para", prod. USA (od lat 15).
Grajewo, kino „Relax": 4 VI — „Coma", prod. USA (od lat 18); 5—7 VI — „Kariera na zlecenie", prod. franc. (od lat 18); 8—9 VI — „Fedora", prod. RFN (od lat 15); 10—11 VI — „Nic nie stoi na przeszkodzie", prod. pol. (od lat 12).
Jedwabne, kino „Oaza": 4 VI — „Glina czy łajdak", prod. franc. (od lat 18); 6—7 VI — „Parszywa dwunastka", prod. USA (od lat 18); 10—11 VI — „Kobieta i kobieta", prod. pol. (od lat 15).
Kolno, kino „Wrzos": 4—5 VI — „Mężczyzna w lodenie", pod. rum. (od lat 12); 6—7 VI — „Ale kino", prod. USA (od lat 15); 8—10 VI — „Przypływ uczuć", prod. franc. (od lat 18).
Nowogród, kino „Ziemowit": 6—7 VI — „Dziedzictwo", prod. ang. (od lat 18); 9—10 VI — „Agnieszka idzie na śmierć". prod. włosk. (od lat 15).
Stawiski, kino „Saturn": 4—5 VI — „Dzień szarańczy", prod. USA (od lat 15); 6—7 VI — „Gorące polowanie". prod. jap. (od lat 15); 9—14 VI — seanse zamknięte.
Zambrów, kino „Kosmos": 4—5 VI — „Referty i dziewczyny", prod. USA (od lat 15); 6—7 VI — „Samolot w płomieniach", prod. radz. (od lat 15); 8—9 VI — „Bufallo Bill i Indianie", prod. USA (od lat 12); 10—11 VI — „Nowy Don Juan". prod. NRD. (od lat 15).

Kierownictwo kin zastrzega możliwość zmian programu.

Galeria Dawnej Fotografii, ul. Mariana Buczka (witryna sklepu tekstylnego): E. Zajączkowski (?): „Samochód pasażerski w Łomży" (około 1928 r.).
Galeria Jednej Fotografii, ul. Ściegiennego 1 (witryna sklepu „Foto-Optyka"): Janusz Wądołowski — „Chlewik".
Galeria Twórczości Plastycznej Dzieci, ul. Marii Skłodowskiej-Curie 5 (Szkoła Podstawowa nr 3), czynna codziennie — oprócz niedziel i dni świątecznych — w godz. 8.00—18.00, w soboty w godz. 8.00—15.00: wystawa prac plastycznych dzieci i młodzieży z województwa łomżyńskiego po konkursie „Przyroda — twój przyjaciel".
Salon Wystawowy BWA, ul Armii Czerwonej 19 — nieczynny (zmiana ekspozycji).

Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzywe Koło 1, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków, wtorków i dni poświątecznych): w środy i piątki w godz. 10.00—18.00, w czwartki i soboty w godz. 10.00—16.00, w niedziele w godz. 11.00—17.00. **Wystawy:** „Nabytki Muzeum w latach 1975—1980" — wystawa najciekawszych eksponatów z różnych dziedzin kultury; „Bursztyn z dorzecza Narwi Środkowej" — wystawa ze zbiorów własnych, prezentująca wydobywanie, obróbkę oraz wyroby z bursztynu.
Park Etnograficzny Północno-Wschodniego Mazowsza im. Adama Chętnika w Nowogrodzie, czynny codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych) w godz. 9.00—16.00. **Wystawy:** 1) Wnętrza chat, kuźni, olejarni z wyposażeniem, izba tkaczki-artystki ludowej Anny Kordeckiej, spichlerek z wystawą obrazującą przemiał i przechowywanie zbóż, stodółka ze starym drewnianym kieratem i narzędziami bartnymi. 2) W Dworku z Brzózek wystawa archeologiczna — „Pradzieje Nowogrodu". 3) W chacie z Baranowa wystawa „Adam Chętnik — życie i działalność".
Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych) w godz. 8.00—16.00, w niedziele i święta w godz. 11.00—19.00. Wystawy stałe: 1) „Dzieje rolnictwa" (techniki uprawy, pasterstwo, hodowla, transport wiejski, mechanizacja rolnictwa, rzemiosło, tkactwo ludowe). 2) Wystawa biograficzna Krzysztofa Kluka. 3) Skansen mazowiecko-podlaski z ekspozycją wnętrz. 4) Regionalna Izba Pamięci Narodowej. Wystawa czasowa: „Kwiaty" — malarstwo Jana Kulikowskiego.

Wojewódzki Dom Kultury w Łomży: festyn turystyczno-krajoznawczy (w Lasku Jednaczewskim), 6—7 VI; kolejka elektryczna — wystawa dla dzieci, czynna codziennie w godz. 10.00 — 15.00; w Galerii Plastyki Nieprofesjonalnej (hol WDK) — wystawa malarstwa Czesława Dzieweczyńskiego w XXV-lecie pracy twórczej.
Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zambrowie: spotkanie z okazji Dnia Matki (w programie — prezentacja dorobku zespołów dziecięcych), 6 VI, godz. 16.00.
Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Ciechanowcu: festyn z okazji Dnia Matki, 7 VI, godz. 16.00.
Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Ciechanowcu: festyn z okazji Dnia Matki, 7 VI, godz. 14.00.
Stowarzyszenie PAX: „Setna rocznica urodzin gen. Władysława Sikorskiego" — spotkanie z red. Wojciechem Janickim („Kierunki"), 9 VI, o godz. 19.00 — w Klubie Oddziału Wojewódzkiego PAX w Łomży (ul. Rządowa 8) i 10 VI, o godz. 19.00 — w sali Cechu Rzemiosł Różnych w Zambrowie.

W razie potrzeby

32-44 — dyżurująca apteka, ul. Giełczyńska 1.
997 — Milicja Obywatelska.
34-61 (do 65) — Pogotowie Energetyczne.
999 — Pogotowie Ratunkowe.
998 — Straż Pożarna.
Pogotowie Chirurgiczne, ul. Marii Skłodowskiej-Curie 1. Czynne całą dobę
Dyżury stacji obsługi motoryzacyjnej w dni wolne od pracy: 6 VI — ASO „Polmozbyt" w Zambrowie, tel. 35-36; 7 VI — Pomoc drogowa, Łomża, ul. Rybaki 7, tel. 33-43.

Ogłoszenia drobne

DOM w surowym stanie — sprzedam. Wiadomość: Łomża, ul. Armii Czerwonej 55 „b" m 32 tel. 53-38. g 3332-1

SYRENĘ 105, rocznik 1976, sprzedam. Łomża, Sadowa 10 ,tel. 34-95.

SILNIK „Fiata" 1500 (trzyletni), skrzynię biegów „Moskiwcza", samochód „Moskwicz" po kapitalnym remoncie — sprzedam. Wiadomość: Łomża, ul. 22 Lipca 8/23. p 841-1

„FIATA" 126 p (dwuletni) stan bardzo dobry — sprzedam. Kupiski Stare 101, 18-400 Łomża, Mularczuk. p 853-1

DOM wolnostojący, stan surowy, w Łomży — sprzedam. Wiadomość: Kolno, ul. Proletariacka 7/58. p 874-1

Komunikat

Już w najbliższą sobotę (6.06 godz. 9.30, kino „Październik") pierwsza w Łomży dyskusja panelowa pod hasłem: „Polskie zakręty", zorganizowana przez „Starcia" — Klub Dyskusyjny „Kontaktów" i WOKI. W programie:
- Pokaz Polskiej Kroniki Filmowej, dokumentującej polskie wybuchy społeczne: 1956, 1968, 1970, 1976, 1980 (wiele zdjęć publicznie po raz pierwszy pokazywanych na ekranach).
- Prowadzony przez Piotra Kuncewicza panel z udziałem polityków, naukowców i publicystów. Między innymi I Premiera Polski Ludowej, Edwarda Osóbki-Morawskiego, prof. Kazimierza Kąkola, doc. hab. Bronisława Gołębiowskiego, doc. dr. hab. Jadwigi Staniszkis.

Pierwszeństwo wstępu mają osoby dysponujące zaproszeniami.

KONTAKTY

Łomżyński tygodnik społeczny pismo PZPR REDAGUJE ZESPÓŁ: Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefania Bencelowa — zastępca redaktora naczelnego Nina Omelczenko — sekretarz redakcji, Lech Giełbach Wiesław Kołowski Juliusz Świredo. Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zieliński Fotoreporter — Gabor Lörinczy Redaktor graficzny — Stanisław Kędzielawski Redaktor techniczny Zbigniew Bencel Korekta — Elżbieta Słupska STALE WSPÓŁPRACUJĄ: Andrzej Bartosz, Alicja Basta, Janusz Berner, Jerzy Bielecki, Irena Biernacka Jacek Grün Wiesław Janicki Henryk Kin Andrzej Kiziała Klemens Krzyżagórski Jan Kulka, Piotr Kuncewicz, Marek Kusiba, Tadeusz Mocarski, Franciszek Piątkowski, Tomasz Piotrowski Zbigniew Siedlecki, Andrzej Tchórzewski Wojciech Woźniak KONCEPCJA GRAFICZNA Marek Goebel ADRES REDAKCJI: ul Sadowa 10 18-400 Łomża Tel 34-95, 40-32, telex — 853249 WYDAWCA: RSW „Prasa Książka-Ruch" Białostockie Wydawnictwo Prasowe w Białymstoku Druk Białostockie Zakłady Graficzne, Zam. 912/81 r. Nakład 22.000 A-2. PL ISSN 0208-6840 — Nr indeksu 36328 Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń Red tyg Kontakty" 18-400 Łomża ul Sadowa 10 tel 34-95 40-32 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa Książka Ruch" na terenie całego kraju Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności

MINI-KABARET

PIEKIEŁKO

PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY

DIABELSKIE OBRACHUNKI

Tydzień temu cztery nasze znajome, a być może nawet zaprzyjaźnione diabły, ob. ob. Narwiański, Dojlicki, Bużański i Biebrzański, gościły superdiabła, czyli VIP-a, czyli bardzo ważną personę. VIP trochę sobie popolował na nadnarwiańskich bagnach, jeden diabeł aportował, reszta badała się wzajemnie. Dziś, po zakończeniu wizyty, cała czwórka czuje się tak sobie.

NARWIAŃSKI: Tfu. Jeszcze mi od tego aportowania pióra w pysku siedzą. Pluję już drugi tydzień.

BUŻAŃSKI: Ja mam w dalszym ciągu niestrawność.

DOJLICKI: Ja się naszemu gościowi nie dziwię. Wielu takich, jak on, podróżuje obecnie i szuka sobie miejsca. Jeden chce kandydować do władz najwyższych piekielnych, inny w dalszym ciągu kombinuje rachunki, albo świadków niegdysiejszych robót daczowych, jeszcze inny szuka po prostu roboty, bo mu się grunt pod kopytami pali. Organa piekielne badają przeszłość, a niektórzy organiści dawniej siedzący cicho, już to za karę, już to ze strachu, teraz wyłażą i polują na dawnych kompanów krzywdzicieli.

BUŻAŃSKI: Oj, co prawda, to prawda. Dziś tych polowniczych mamy sporo. Polowania zresztą są nader łatwe.

DOJLICKI: Dziś nawet jakiś zasrany, za przeproszeniem, diabeł z byle dziury, czy nawet zwykłej kałuży, wyłazi i poluje albo straszy zasłużonych kolegów.

BIEBRZAŃSKI: Bo też prawie każdy diabeł ma coś na sumieniu. Koledzy! Prawie każdy diabeł, bywało, błądził dobro czyniąc. Dziś trzeba albo składać samokrytykę, albo iść do wszystkich diabłów. Ot, co pozostało.

BUŻAŃSKI: Lepiej składać samokrytykę i czekać. Trzeba to wszystko przetrwać. Nie cała drużyna się rozleciała. Nadejdzie taki czas, że będziemy sami polować na dzisiejszych polowniczych.

DOJLICKI: Tylko wtedy nie będzie żadnej demokracji czy czegoś w tym rodzaju. Tałatajstwo trzeba brać za mordę i trzymać krótko przy pysku. Raz kawałek kiełbasy, a raz łagą przyładować. Stara to i sprawdzona zasada.

BIERZAŃSKI: Ciicho. A nuż ktoś usłyszy. Nie czas jeszcze na takie rozróby.

NARWIAŃSKI: A niech usłyszy, to zacznie szurać i podskakiwać. Zrobi się jeszcze jakiś numerek, żeby lepiej rozjuszyć, i od razu będzie mąciciel ładu i porządku publiczno-diabelskiego.

BIEBRZAŃSKI: Najlepiej jednak sprowokować do strajku. Koledzy! Trzeba sobie raz na zawsze uświadomić i zapamiętać, że im gorzej tym lepiej. Powinniśmy dążyć do rozrób. Powinniśmy dążyć do zamieszania. Jak będzie głód i bardak, to społeczność diabelska sama zacznie nas prosić o usztywnienie postaw. Sami nas poproszą o wyjście z kryjówek i...

BUŻAŃSKI: Uch! Ja wiem, kogo w pierwszej kolejności bym załatwił. Ajajajaj! Tak wziąć za mordę (*rozmarza się*). Tak pałeczką po żeberkach, po piętkach, po kolankach. Mokrą szmatkę na plecki i łupu-cupu.

BIEBRZAŃSKI: Albo ząbki porachować, albo mieszkanko przetrząsnąć, żeby miesiąc nie mógł papieru toaletowego znaleźć.

NARWIAŃSKI: Nadejdzie to kiedy taki czas?

DOJLICKI: Nadejdzie, nadejdzie. Tylko musimy cierpliwie czekać i w miarę możliwości szkodzić procesowi przemian piekielnych. A zatem do szkodzenia, do szkodzenia, koledzy diabłowie.

WIESŁAW TOMASZEWSKI

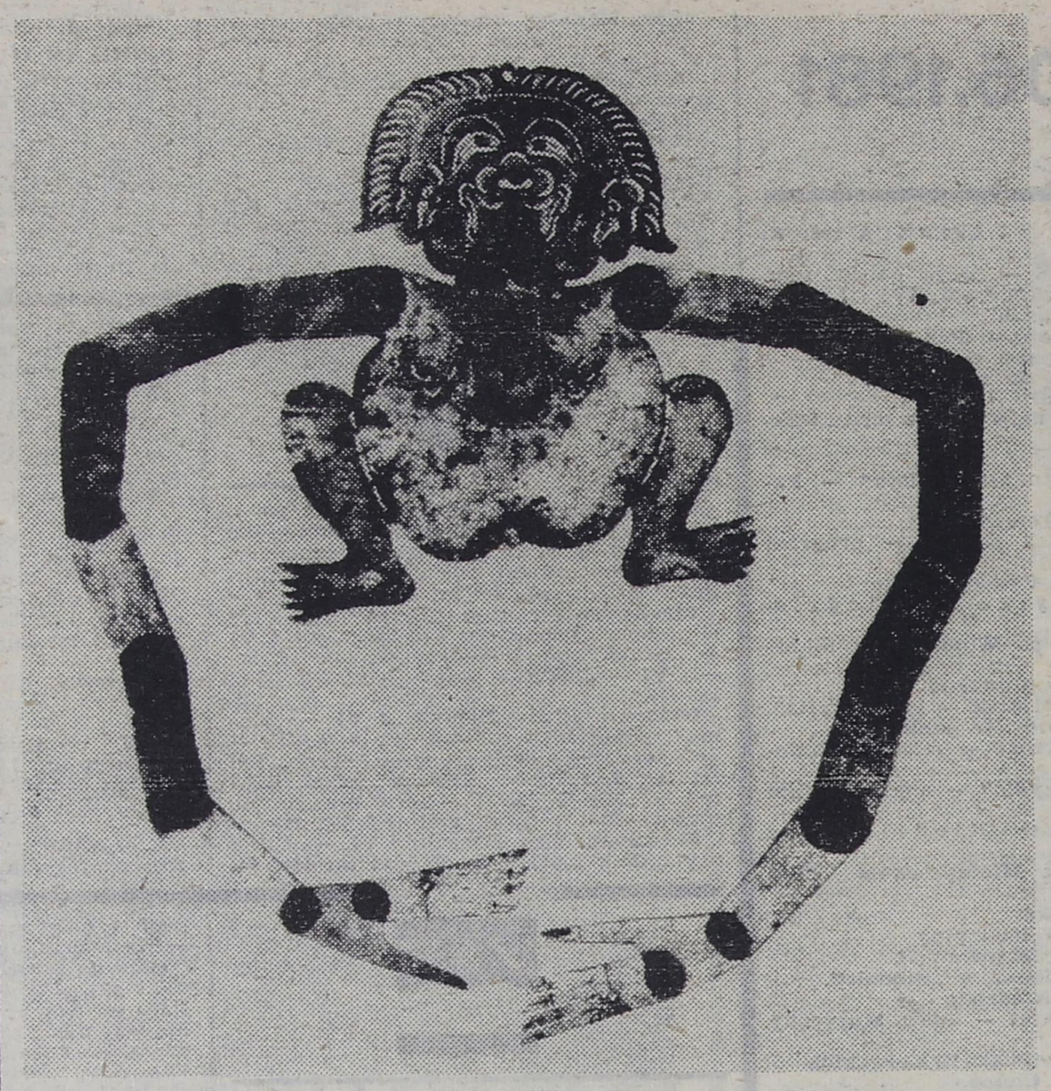

Sezuan. Demon o długich rękach. Reprodukcja Włodzimierz Ciesłowski

ZAPŁACONA GORZAŁKA

Roz dwóch chłopów szło na wander (na wędrówkę). Rodziny we wsi zostawili, a sami szli na Saksy, aby się dorobić i żona a dzieci wyżywić. Kupili pół litra gorzały, bo chcieli ją tam sprzedać. No, ale droga była długa, a byli zmęczeni i ten jeden pado:

— Kmoterku, a sprzedajcie mi aby kieliszek tej gorzałki!

Zapłacił i wypił. Idą zaś kęs, a ten drugi pado:

— Kmoterku, wiecie, tak mnie kurz w gardle suszy, że trza by się napić.

I zapłacił. I wypił.

I tak co jeden doł talara za kieliszek, to drugi zaś tego talara nazod doł za drugi kieliszek.

Tak doszli na Saksy. Przyszli, chcą sprzedać gorzoła. Patrzą, a tu flacha próżno.

— Kmoterku? Jak to może być: ani pieniędzy nie momy, ani gorzołki nie momy, a przecież za każdy kieliszek my zapłacili?

(Z opowieści ludowych)

Afrodyta i Pan — rzeźba ateńska w Zbiorze Narodowego Muzeum Archeologicznego. Reprodukcja Włodzimierz Ciesłowski

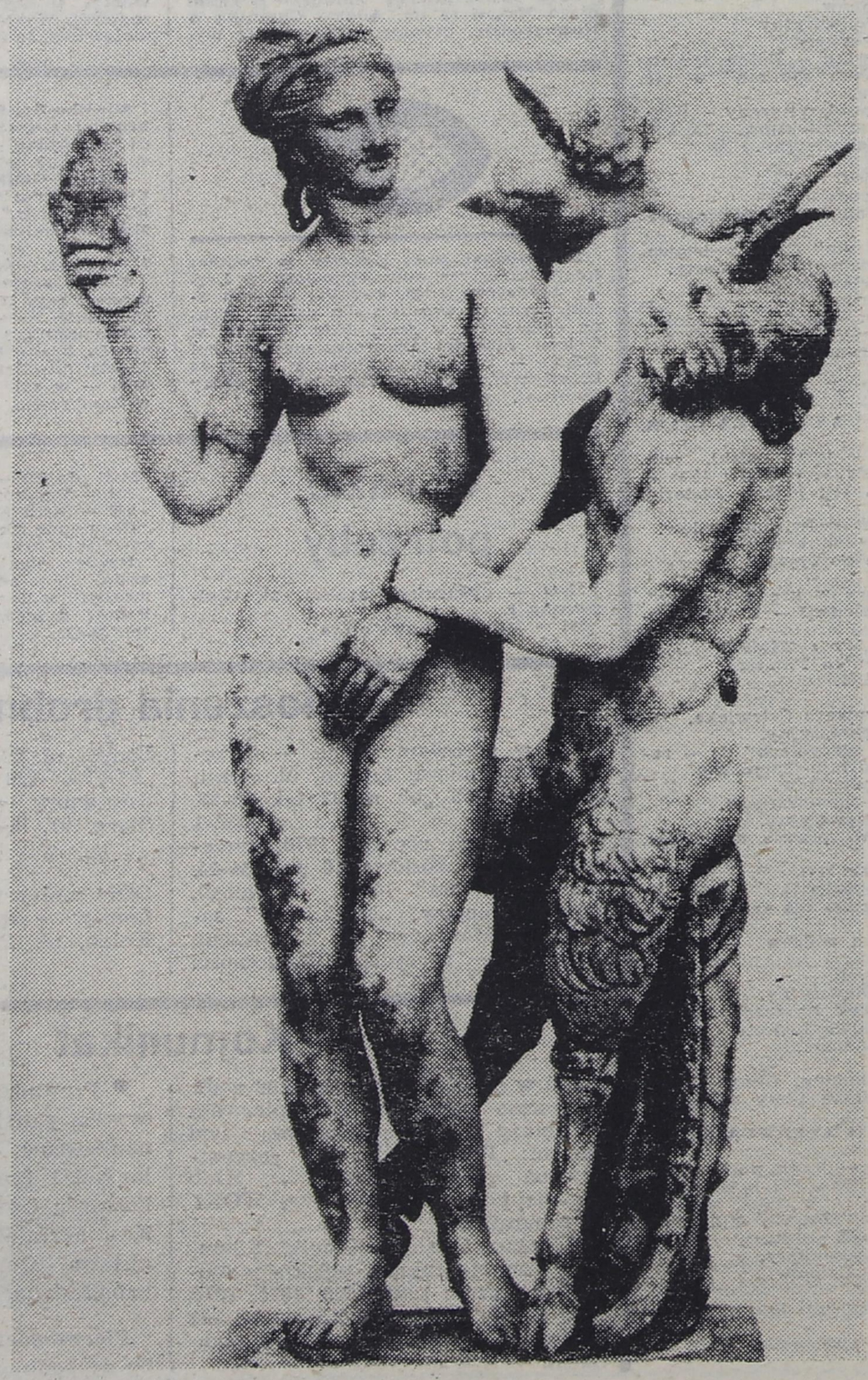

DONOS NR 11

Uniżenie donoszę, że nierytmiczność w podaży mioteł wynika z wielu obiektywnych czynników. Powiem krótko, bez owijania w importowaną bawełnę. Rzecz wygląda szaro, ale nie tak znowu czarno. Mianowicie: chrust na miotły jest rąbany w Ojcowskim Parku Narodowym, kije na trzonki wycina się w Puszczy Augustowskiej, drut podciąga się z Huty „Katowice", a montaż, popularnie zwany skręcaniem, następuje w szuwarach Zalewu Szczecińskiego. Gotowe wyroby są następnie atestowane na lubelskich lessach i — z braku urządzeń do wyważania — wozi się je z krańca na kraniec, z krańca na kraniec, a kiedy jest już możliwy do wyczucia punkt równowagi, składuje w zieleniogórskich Odry zakolach. Po przeterminowaniu rzuca się je na podlaski rynek z takim wyliczeniem, aby — odbite rykoszetem — trafiły na złomowiska Nowej Huty. Stamtąd różne podejrzane elementy wygrzebują je, postawiwszy uprzednio litra dozorcy, i przemycają na jarmark. Prawda, że proste?!

DODATEK ŚCIŚLE JAWNY

PRACA ZAWODOWA

Zaniepokojonym wiedźmom piekło centralne wyjaśnia, że mioteł nie zalicza się do artykułów luksusowych i nie będzie od nich obowiązywał podatek.

Jednocześnie miło nam zakomunikować, że odnowa dotarła pod bramy piekła. Pięknie pochlapano świeżym błotem mury szacownej instytucji oraz wierzeje główne. Skorodowano również dokładnie części kotłów, na których spod rdzy wyjrzało ohydne niklowanie. Dodatkowo zakupiono pokątnie w niebie transport świeżej sadzy do odświeżenia wnętrz piekielnych.

Natomiast do trzonka wideł lucyperskich wciąż wpływają nowe postulaty, którymi szczerze przejęta czarcia administracja znakomicie podsyca ogień piekielny. Złośliwi twierdzą nawet, że dzięki temu w piekle pojaśniało.

WYTYCZNE

Z masarni zrobić szatnie publiczne.

WSKAZÓWKI

Braku mięsa nie zastąpi się brakiem papieru.

TWÓRCZOŚĆ

Ożywi rynek artykuł nowy: lizak o smaku — czekoladowym.

Z upoważnienia NSDW Czarnego vel Hańczaka do publicznej wiadomości podał.

TADEUSZ CHARMUSZKO

Magia liczb

TAJEMNICZA SIÓDEMKA

Liczba „7" zajmuje wśród innych liczb miejsce wyjątkowe, pozycję apokaliptyczną, otoczoną aurą tajemnicy i wróżbiarskich praktyk. Siódemka ma niejako za rodziców dwie liczby zasadnicze: 3 i 4. Trójka wyraża tu pierwiastek podstawowy wszelkich operacji intelektualnych (zliczyć do trzech), ale także element niematerialny, duchowy (po trzykroć święty). Czwórka natomiast jest zdecydowanie materialna i oznacza cztery strony świata, cztery żywioły, cztery wiatry i cztery temperamenty ludzkie. Według Junga liczba „3" to pierwiastek męski, a „4" — żeński. Dodane do siebie jako siódemka symbolizują całość świata, z całą jego przebogatą problematyką.

Tajemnicza siódemka i jej niecodzienne właściwości nieobce już były mistyce pitagorejskiej, w której traktowano ją jako zasadę świata. W tym ujęciu czwórka oznacza kwadrat, trójka zaś trójkąt. Kwadrat rozpada się na dwa trójkąty, ulega zatem rozpadowi, rozkładowi, jest przemijalny — oznacza materię. Trójkąt natomiast daje się podzielić tylko na trójkąty, czyli na to samo, jest nieprzemijalny — symbolizuje wiecznego ducha.

Również artyści, i to bardzo różnych epok, poddawali się magii liczb. Słynny utwór kompozytora awangardy XX wieku, Cage'a, pod tytułem „4 minuty i 33 sekundy", który jest niczym innym, jak trwającą 4 minuty i 33 sekundy ciszą, upływem czasu, oparty jest na mistyce liczb. U Cage'a podwójna trójka i czwórka sumują się już w 10 — liczbę doskonałą i zamkniętą, po której może się rozpocząć tylko nowy cykl.

POKUSY
pod redakcją Andrzeja Koziary
organ samozwańczy